

Sportowy 24

CO NAS CZEKA W ROKU 2026?/
OLIMPIJSKA FORMA POLSKIEJ ALPEJKI/
POLSKA LEKKOATLETYKA NA ZAKRĘCIE/

POLSKA

METROPOLIA WARSZAWSKA

PONIEDZIAŁEK, 5.01.2026

NR 2 (2513)

CENA 6,00 ZŁ (W TYM 8% VAT)

INFORMACJE Z KRAJU I ZE ŚWIATA WWW.I.PL



s.4-5

Fala antyukraińskiej propagandy w Polsce.

Stoją za tym już nie tylko anonimowe internetowe boty, ale i prawicowi politycy

FOT. AUTOR

s.8

Wskaźnik dzietności w Polsce spada, o zastępowalności pokoleń można zapomnieć. Czy rok 2026 będzie kolejnym, w którym młodzi nie zdecydują się na dziecko?

s.10

W świecie, w którym diagnoza decyduje o życiu, medycyna nuklearna staje się jedną z jej najważniejszych gałęzi. Czym ona jest, jakie daje pacjentom możliwości?



FOT. PAP/EP



NR ISSN 1898-3081 | NR INDEKSU 349-682

s.3

W błyskotliwej akcji służb specjalnych
USA pojmały prezydenta Wenezueli.
Co chce osiągnąć Donald Trump takim ruchem?

W piątek magazyn Puls

● Tzw. rozmowy pokojowe zdają się nie mieć końca. Tymczasem Rosja wciąż się zbroi i może być gotowa do kolejnej wojny już w 2026 lub 2027 roku

Marek Mazurkiewicz
publicysta



POLSKĘ ZALEWA DEZINFORMACJA

Wyemitowane 30 października 1938 r. słuchowisko Orsona Wellsa pt. „Wojna światów” do dziś pozostaje klasycznym punktem odniesienia w badaniach nad wpływem mediów masowych na społeczeństwo. Jest też symbolem siły i sugestywności przekazów medialnych oraz mechanizmów dezinformacji.

Słuchowisko, zachowujące charakter normalnej audycji muzycznej, było przerywane przez dramatyczne relacje reporterów, którzy „na żywo” informowali słuchaczy najpierw o tajemniczych eksplozjach na Marsie, później o lądowaniu cylindrycznego meteoru, a następnie o ataku kosmitów. Wyjaśnienie, że słuchacze mieli do czynienia z radiową inscenizacją, pojawiło się na początku i na końcu audycji. Ale nie każdy zdążył je usłyszeć. Skutkiem była społeczna panika w okolicach Nowego Jorku i New Jersey, gdzie osadzono akcję słuchowiska. Wielu mieszkańców uwierzyło, że był to początek apokalipsy.

Z perspektywy niemal 90 lat po emisji „Wojny światów” łatwo wzruszyć ramionami nad łatwowiernością słuchaczy, którzy po wysłuchaniu jednej audycji uwierzyli w atak Marsjan. Historyczny przykład stanowi jednak ostrzeżenie przed tym, jak łatwo wykorzystać media do manipulacji i wpajania treści, w które uwierzymy - nawet jeśli są zupełnie niedorzeczne.

Tym razem jednak nie chodzi o radiową inscenizację. Niemal codziennie docierają do nas, głównie za sprawą mediów społecznościowych, kolejne przykłady dezinformacji, których źródła prowadzą m.in. do Moskwy i Mińska. Wschodni „specjaliści” rozpoznali, że na antyukraińskie i antyunijne treści szczególną podatność wykazują dziś odbiorcy o prawicowych poglądach. Dlatego internetowe trolle próbowały przypisać zabójstwo 12-latk z Jełniej Góry ukraińskiej dziewczynce, a do Unii Europejskiej na Tik-Toku zniechęcają nawet wygenerowane przez AI nastolatki. Zmieniające się nastroje społeczne pokazują, że są skuteczne.

Spośród licznych wyzwań i problemów, jakie czekają nas w Nowym Roku, jednym z najważniejszych jest obrona przed zalewem nieprawdziwych i nienawistnych treści atakujących nasze umysły. W przeciwieństwie do słuchowiska Orsona Wellsa współczesna „wojna światów” nie jest fikcją. Jest całkiem prawdziwa.

SPOKOJU W TYM TAK BARDZO NIEPRZEWIDYWALNYM ŚWIECIE

Co było najważniejszym wydarzeniem 2025 roku? Pierwsze to druga kadencja Donalda Trumpa, która rozpoczęła się 20 stycznia od zaprzysiężenia, które przypominało niemalże koronację królów w średniowieczu. Były śpiewy, modły i podziękowania Bogu, że dał nam takiego prezydenta. A potem było już tylko gorzej. Zobaczyliśmy Elona Muska, najbliższego człowieka Trumpa jak wykonuje nazistowski salut na wiecu, usłyszeliśmy, że Kanada to 51. stan USA, Dania ma oddać Trumpowi Grenlandię, a Panama swój słynny kanał. Ludzie z administracji Trumpa zaczęli bezczelnie rugać i wyśmiewać europejskich przywódców, wtrącać się w wybory, a USA nałożyły na niemal cały świat wysokie cła.

Najbardziej szokujące było jednak chyba poniżające zachowanie prezydenta Stanów Zjednoczonych wobec prezydenta Ukrainy w Gabinetcie Ovalnym, a z drugiej strony niezwykle czułe wobec krwawego dyktatora z Kremla, Władimira Putina na Alasce. Te dwa tak różne

Maciej Sandecki
publicysta



obrazy na długą zostaną w mojej pamięci jako dowód moralnej degeneracji i szokującej zmiany w polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych podczas tej prezydentury. To zupełna zmiana wektorów! Nie wierzę więc w powtarzany slogan, że „tylko Donald Trump może zmusić Putina do pokoju”, bo na razie to jedynie zmusza Zełenskigo, bo to dużo prostsze. Chciałbym bardzo, żeby w Ukrainie zapanał pokój, ale raczej nie będzie to zasługą Trumpa. A jeśli się myślę, to go za to przeproszę.

Wybory w USA niewątpliwie wpłynęły także na wybory prezydenckie w Polsce. Wybór Karola Nawrockiego to dla mnie drugie najważniejsze wydarzenie ubiegłego roku. Rok temu wszystkie sondaże, niemal do samego końca kampanii prezydenckiej, wskazywały

na Rafała Trzaskowskiego. Jego przegrana była szokiem, z którego obóz demokratyczny wychodził boleśnie przez kilka miesięcy. Te wybory bardzo zmieniły scenę polityczną w Polsce.

Wybór Trumpa, a potem Nawrockiego, a co za tym idzie ich obu niechętna postawa wobec Ukrainy, plus szerząca się w internecie prorosyjska propaganda, doprowadziły do wzmożenia antyukraińskich nastrojów w polskim społeczeństwie. Widać to w sondażach. Skrajnie prawicowi politycy dwóch konfederacji Menthena i Brauna, już nie kryją się z tym kogo wspierają w tej wojnie i ścigają na antyukraińskość. Cztery lata temu polskie społeczeństwo pokazało swoją niezwykłą solidarność z narodem ukraińskim po napaści Rosji, a dziś niestety spora jego

część bez ogródek pokazuje swoją proputinowską gębę. Bo już wolno. Wybór Nawrockiego, co ciekawe, nie przyniósł wiatru w żagle PiS, ale właśnie antyunijnym i antyukraińskim konfederacjom.

Trzecie najważniejsze dla mnie wydarzenie 2025 roku, to powszechność i rozwój Sztucznej Inteligencji. Jeszcze niedawno ChatGPT i inne modele AI uchodziły za technologiczną ciekawostkę, służącą zabawie. Ileż to mieliśmy radochy, kiedy wpisywaliśmy czyjeś nazwisko do czata, a ten wypływał nam jakieś śmieszne androny. Ten czas już minął. Z narzędzi sztucznej inteligencji świat zaczął korzystać w tym roku pełną parą, nie tylko do zabawy, ale po pierwsze do pracy, nauki czy nawet do zaspokojenia potrzeby rozmowy z drugim człowiekiem.

To dopiero początek relacji ludzkości ze sztuczną inteligencją i dwie rzeczy na dziś są pewne: że ta technologia zdominuje świat w najbliższych latach i że do końca nie wiemy, dokąd nas zaprowadzi w przyszłości.

FORTEPIAN W GALERII

Każdy, kto kiedykolwiek grał na fortepianie, zna to uczucie. Czy to w knajpie, czy w hotelu - ogólnodostępny fortepian nie daje spokoju, dopóki się przy nim nie usiadzie i czegoś nie zagra. Oczywiście dotyczy to tylko ludzi młodych lub starych, ale niedojrzałych.

Taki instrument, dla młodego/niedojrzałego, to wyzwanie: skoro tyle lat ćwiczyłem Bachy, Mozarty, to teraz pokażę, udowodnię. Nie im - sobie pokażę, że mam odwagę nieproszony, wykonać co nieco. A jeśli przy okazji zwróci na mnie uwagę piękna nieznajoma, no to trudno. Piszę „nieznajoma” nie bez powodu - do otwartych fortepianów siadają prawie wyłącznie mężczyźni, ponieważ

Tadeusz Płatek
publicysta



od kobiet są mniej dojrzały z zasady.

Schemat zawsze ten sam. Ktoś dostrzega, nieśmiało się zbliża, siada i bardzo długo zastanawia co by tu zagrać. Nie ma na to ochoty, zanim więc uderzy akord, nieśmiało wciska jeden klawisz w nadziei, że będzie rozstrojony. Niestety - stroi. Następny więc - cholera też, nie ma wymówki. Dotknąłeś, musisz zjeść cały utwór, bo już ludzie patrzą.

Taki fortepian stoi w Krakowie w Galerii Bronowice,

którą zresztą lubię, bo nigdy nie jest zatłoczona. Na tym fortepianie prawie zawsze ktoś gra.

Ja też chciałem, nawet już wiedziałem, że będzie to nokturn Chopina, bo jakoś do galerii mi pasował. Tak się jednak złożyło, że podsiadła mnie osoba w kryzysie bezdomności, rodzaju najprawdopodobniej męskiego. Zaczął grać, ludzie się bardzo wzruszyli, że niby menel, a taki wrażliwy, jakie to życie niesprawiedliwe. Ja natomiast musiałem salwować się

ucieczką, znalazłem się w sytuacji turbo-niekomfortowej. Bezdomny grał niestety fatalnie, co z miejsca wykluczyło u mnie wzruszenie, wzmogło natomiast złość. Że można sobie nie ćwiczyć, brzdąkać byle co, nie w tej oktawie, w układzie skupionym w basie, co brzmi karygodnie - a efekt wzruszenia i tak muirowany.

Tiktok się zrobił, wzruszająca rolka na Instagramie nastąpiła, a on sobie nawet rąk nie umył. Choć mógł.

Odtąd przechodzę koło fortepianu zwolniony z obowiązku.

Wczoraj jakiś student czy uczeń przetał klawiaturę, balladę Chopina zaczął, Asdur - nawet ładnie. A potem nokturn, co go chciałem zagrać - już tak sobie.

Z ogromnym smutkiem przyjęliśmy informację
o śmierci naszego Kolegi

ś†p

Tomasza Jabłońskiego

Dzięki posiadanej wiedzy i doświadczeniu zawodowemu
wspierał nas wszystkich i zawsze służył dobrą radą.

Tomasz był ceniony
przez wszystkich swoich współpracowników
za życzliwe i pomocne podejście.
Będzie nam Go brakowało.

Rodzinie

składamy wyrazy głębokiego współczucia
i słowa chrześcijańskiej nadziei.

Współpracownicy

z Poznańskiego Centrum Superkomputerowo-Sieciowego

MADURO POJMANY PRZEZ USA. CO DALEJ Z WENEZUEŁĄ?

Ujęcie Nicolasa Maduro nie oznacza końca reżimu chavistów w Wenezueli. Władzę formalnie przejęła wiceprezydent Delcy Rodriguez – na której lojalną współpracę w transformacji państwa liczy Donald Trump. Jednak przeszkodą mogą okazać się zagorzali zwolennicy uwięzionego dyktatora, zwłaszcza w służbach bezpieczeństwa i wojsku

Grzegorz Kuczyński, Robert Szulc

Donald Trump zasugerował, że USA będą tymczasowo zarządzać Wenezuelą. Podczas konferencji prasowej stwierdził, że wiceprezydent Delcy Rodriguez będzie musiała współpracować z amerykańską administracją, dodając: „naprawdę nie ma wyboru”. Trump zapowiedział też, że obecność amerykańskich żołnierzy na terytorium Wenezueli nie będzie konieczna, „jeśli wiceprezydent zrobi to, czego chcemy”.

Pierwszy przekaz następczyni Maduro

Według źródeł „New York Times”, amerykańscy urzędnicy wybrali odpowiednią kandydatkę, która mogłaby zastąpić Maduro, kilka tygodni wcześniej. Wiceprezydent Delcy Rodriguez miała zrobić wrażenie na ludziach Trumpa swoim zarządzaniem kluczowym dla Wenezueli przemysłem naftowym. Osoby zaangażowane w rozmowy twierdzą, że pośrednicy przekonali administrację, że Rodriguez będzie chronić i wspierać przyszłe amerykańskie inwestycje energetyczne w tym kraju.

Według rozmówców było to łatwy wybór. Trump nigdy nie darzył sympatią przywódczyni opozycji w Wenezueli, Marii Coriny Machado, która zorganizowała zwycięską kampanię prezydencką w 2024 r., dzięki czemu w tym roku otrzymała Pokojową Nagrodę Nobla. Od czasu reelekcji Trumpa Machado starała się mu przypodobać, nazywając go „mistrzem wolności”, powtarzając jego argumenty dotyczące oszustw wyborczych w Stanach Zjednoczonych, a nawet dedykując mu swoją Pokojową Nagrodę Nobla. Było to daremne. W sobotę Trump powiedział, że zaakceptuje Rodriguez, twierdząc, że Machado brakuje „szacunku” niezbędnego do rządzenia Wenezuelą.

Pomimo publicznego potępienia ataku przez Rodriguez, wysoki rangą przedstawiciel władz USA stwierdził, że jest zbyt wcześnie, aby wyciągać

wnioski na temat jej podejścia, a administracja pozostaje optymistyczna co do możliwości współpracy z nią. Choć w telewizyjnym przemówieniu oskarżyła Stany Zjednoczone o nielegalną inwazję i stwierdziła, że Maduro pozostaje legalnym przywódcą Wenezueli.

56-letnia Rodriguez jest córką marksistowskiego partyzanta, który zasłynął porwaniem amerykańskiego biznesmena. Część edukacji odbyła we Francji, gdzie specjalizowała się w prawie pracy. Zajmowała średniej rangi stanowiska w rządzie poprzednika Maduro, Hugo Chaveza, zanim awansowała na wyższe stanowiska dzięki pomocy swojego starszego brata Jorge Rodriguez, który ostatecznie został głównym strategiem politycznym Maduro.

Delcy Rodriguez udało się ustabilizować gospodarkę Wenezueli po latach kryzysu i powoli, ale systematycznie zwiększyć produkcję ropy naftowej w kraju pomimo zaostrzających się sankcji amerykańskich, co przyniosło jej nawet niechętny szacunek niektórych amerykańskich urzędników.

W miarę jak Rodriguez umacniała kontrolę nad polityką gospodarczą i eliminowała rywali, budowała mosty z elitami gospodarczymi Wenezueli, zagranicznymi inwestorami i dyplomatami, którym przedstawiała się jako łagodna technokratka, kontrastująca z krępkimi funkcjonariuszami służb bezpieczeństwa, którzy stanowili większość pozostałych członków najbliższego otoczenia pana Maduro.

Lojaliści Maduro problemem

Rodriguez musi działać ostrożnie – stąd być może przekaz w jej wystąpieniu oraz fakt, że wenezuelska telewizja państwowa określiła ją nadal jako wiceprezydent.

Takie okazywanie lojalności wobec uwięzionego Maduro ma na celu uspokojenie lojalistów partii rządzącej, w tym sił zbrojnych i grup paramilitar-



Według Trumpa Rodriguez miała zadeklarować, że Wenezuela „zrobi wszystko”, czego będą wymagały USA. Rodriguez zaprzeczyła tym twierdzeniom

nich, którzy byli wstrząśnięci upokorzeniem militarnego ich kraju przez Stany Zjednoczone. Siły amerykańskie zdołały wkroczyć do stolicy w większości bez oporu, zniszczyć co najmniej trzy bazy wojskowe i porwać prezydenta kraju z silnie strzeżonego kompleksu, nie ponosząc żadnych strat w ludziach.

Błyskotliwa operacja amerykańskich służb

Amerykanie czekali cierpliwie z rozpoczęciem akcji schwytania Nicolasa Maduro. Trzeba było namierzyć dyktatora, ważna była też pogoda – mówił generał John D. „Dan” Caine podczas konferencji prasowej w rezydencji Donalda Trumpa na Florydzie. Operacja była planowana od miesięcy – wynika z jego słów. Gen. Caine podkreślił, że nim wydano rozkaz do jej rozpoczęcia, amerykańscy żołnierze wiedzieli wszystko o Maduro i jego żonie – gdzie mieszkają, jaki jest porządek ich dnia, gdzie i co jedzą itp.

Gen. Caine podał, że rozkaz (go-ahead) został wydany przez prezydenta USA o godz. 10:46 p.m. czasu EST (Caracas 11:46 p.m., Warszawa 04:46 w sobotę). Prezydent Trump

i jego współpracownicy obserwowali akcję na żywo – z kamer nasobnych noszonych przez operatorów Deltę – w rezydencji na Florydzie.

W operację zaangażowanych było kilkuset żołnierzy, posłużono się ponad 150 statkami powietrznymi – samolotami i śmigłowcami, które wystartowały z ok. 20 różnych lokalizacji – zapewne lotniskowców i baz wojskowych.

Ok. godz. 1:01 a.m. EST (Caracas 2:01 nad ranem, w Warszawie 07:01) żołnierze USA dotarli do kompleksu, w którym przebywał Nicolas Maduro. Wówczas – jak się wyraził generał – doszło do kontaktu ogniowego. Miał zostać trafiony śmigłowiec, ale był zdolny do lotu. Zapewne tym śmigłowcem Maduro został wywieziony z Caracas.

W generalskim opisie przewija się kluczowy element: Maduro i jego żona poddali się żołnierzom USA. Byli to najprawdopodobniej żołnierze Delta Force, choć nigdzie ta nazwa nie padła. Caine podkreślił, że podczas akcji nie było strat po stronie USA.

Ok. godz. 3:20-3:29 a.m. EST (Caracas 4:20-4:29, Warszawa 09:20-09:29) siły specjalne, które już miały prezydenta We-

nezueli i jego żonę, opuszczają już Caracas. Na jednym z filmów na portalu X widać jak MH-47 Chinook (zapewne z 160th SOAR) wisi przez kilka chwil nad wieżowcem, po linii między budynkiem i śmigłowcem przemieszczają się ludzie.

Według generała wówczas kierowały się na morze – w rejon ewakuacji morskiej. Tu relacje nieco się różnią, bo Reuters podaje godz. 3:20 a.m., a Caine mówi o godz. 3:29 a.m. Zapewne o tej godzinie Maduro już został przejęty ze śmigłowca, gdy ten wylądował na pokładzie okrętu USS Iwo Jima. Później zostali przeniesieni na samolot, który zabrał ich do Nowego Jorku.

W czasie akcji udało się wyłączyć siły powietrzne strony wenezuelskiej, wyłączono także prąd w części Caracas, by akcję przeprowadzić w całkowitej ciemności.

Rosja ma problem

Upadek Nicolasa Maduro, który został schwytany przez amerykańskie siły specjalne i stanie przed sądem, stawia pod znakiem zapytania los miliardów dolarów inwestycji i kredytów, które Wenezuela otrzymała od Rosji. Według szacunków agencji Reuters, w latach 2006-2017 Kreml przeznaczył łącznie 17 mld dolarów na rzecz rządu Wenezueli, a także państwowej spółki naftowej PDVSA.

Pierwsze pieniądze – 2,2 mld dolarów – otrzymał poprzednik Maduro, Hugo Chavez, który w 2009 roku zawarł kontrakt na zakup rosyjskiej broni: czołgów T-72 i kompleksów przeciwlotniczych S-300. Po ośmiu latach Wenezuela była już winna Moskwie 3,5 mld dolarów, których nie mogła spłacić z powodu kryzysu gospodarczego i sankcji. W 2017 roku Władimir Putin i Maduro uzgodnili odroczenie spłaty tego kredytu o 10 lat, z wypłatą kwoty głównej w latach 2024-27.

Pod koniec pierwszej dekady XXI wieku głównym kredytodawcą Maduro stała się firma Rosneft, która w zamian otrzy-

mała udziały w dużych projektach wydobywczych ropy naftowej w Wenezueli. Rosyjskie pieniądze rząd Maduro wykorzystał, aby uniknąć niewypłacalności, spłacając pożyczkę Kremlowi ropą, którą Rosneft odsprzedawała na rynku światowym. W 2020 r., po nałożeniu sankcji na PDVSA, Rosneft sprzedała wszystkie aktywa w Wenezueli specjalnie utworzonej strukturze państwowej Roszarubejneft, należącej w całości do państwa.

Teraz los wenezuelskich złóż ropy znalazł się w rękach administracji Donalda Trumpa, który oskarżył Wenezuelę o „kradzież” ropy Stanom Zjednoczonym. – Zbudowaliśmy wenezuelski przemysł naftowy dzięki amerykańskiemu talentowi, energii i umiejętnościom, a socjalistyczny reżim ukradł nam go – powiedział Trump. Dodał, że Stany Zjednoczone zamierzają odbudować infrastrukturę Wenezueli i „sprzedawać bardzo dużo ropy”, w tym innym krajom.

Błyskawiczna operacja USA wywołała powściągliwą reakcję w Moskwie. Ministerstwo Spraw Zagranicznych wyraziło „głębokie zaniepokojenie” amerykańskimi atakami na terytorium Wenezueli i „poważną troskę” w związku z doniesieniami o aresztowaniu Maduro. Zażądało również uwolnienia Maduro i jego żony Cecylii Flores, którym w Stanach Zjednoczonych grozi kilka wyroków dożywotniego więzienia.

Putin z jednej strony, jako kolega z autorytarnego środowiska i wieloletni sojusznik, identyfikuje się z Maduro – i w tym sensie jest oburzony i przerażony akcją USA, a z drugiej strony, jako przywódca kraju aspirującego do statusu supermocarstwa, Putin identyfikuje się z Trumpem – i w tej kwestii bardzo mu teraz zależy, rozważa politolog Abbas Galliamow. „To będzie bardzo ciężki dzień dla przywódców rosyjskiego bloku siłowego. Będzie wiele krzyków z serii ‘dlaczego oni mogą, a my nie?!’” – pisze Galliamow.

– Aż 92,5 proc. antyukraińskich wpisów zidentyfikowanych w raporcie pochodzi z platformy X. To kwestia toksycznej atmosfery, i konstrukcji serwisu, gdzie każdy komentarz staje się osobnym postem, i łatwo założyć fałszywe konto. Platforma X jest dosłownie skonstruowana do kłócenia się – mówi Piotr Litwin, jeden z autorów raportu „Antyukraińska propaganda: sierpień–listopad 2025”

Anita Czupryn

PIOTR LITWIN: JAK DZIAŁA ANTYUKRAIŃSKA NARRACJA I JAK NIE NAPĘDZAĆ DEZINFORMACJI

W miesiącach od sierpnia do listopada 2025 r. liczba antyukraińskich wpisów w polskim internecie podwoiła się do blisko 186 tys. Kontaktów z tym przekazem było ponad 66 mln. To dane z raportu, którego z ramienia Stowarzyszenia Demagog jest Pan współautorem. Ale co to tak naprawdę znaczy? Jak wytłumaczyłby pan te liczby komuś, kto nie jest ekspertem? Raport powstał we współpracy z Instytutem Monitorowania Mediów. Dzięki temu mogliśmy przeanalizować, jak często i w jak wielu miejscach: mediach społecznościowych – pojawiają się treści, hasła i wypowiedzi, które kwalifikujemy jako antyukraińskie. Nie chodzi o dopuszczalną krytykę czy spór polityczny. Nie wytykaliliśmy merytorycznej debaty o faktach, historii czy oczekiwań po obu stronach – o tym można dyskutować, także ostro, ale na argumenty. Identyfikowaliśmy treści, w których samo bycie Ukraińcem jest przedstawiane jako coś złego; gdzie nie ma argumentu, jest za to wrogość, mowa nienawiści, propaganda i nastawianie ludzi przeciwko sobie. W takich przekazach pojawia się proste „oni są wrogiem”, „nie warto pomagać”, „nie warto wspierać” – bez próby rozmowy o konkratach.

Co pana w tych liczbach najbardziej zaniepokoiło?

Dwie rzeczy. Po pierwsze sam wzrost. W 2025 r. zrobiliśmy dwa raporty: pierwszy obejmował okres kwiecień–lipiec, a drugi: sierpień–listopad. Imiędzy nimi w tak krótkim czasie widać wyraźny skok. To samo w sobie jest niepokojące. Po drugie, kontekst. W ostat-

nich miesiącach bardzo dużo działo się w polskiej polityce i w przestrzeni informacyjnej: dyskusja o ustawie dotyczącej wspierania Ukrainy, później temat dronów i próby zrzucań wina na Ukrainę, choć ostatecznie okazało się, że to nie była jej wina, a także akty dywersji i sabotażu, do których doszło w Polsce. To wszystko są wydarzenia, które łatwo wykorzystać do podbijania antyukraińskich nastrojów. Mam wrażenie, że pierwsza połowa roku była bardziej „wewnętrzna” politycznie, a druga bardziej „zewnątrzna”; a najważniejszym tematem „na zewnątrz” pozostaje wojna na Wschodzie. To napędza debatę i niestety także podatność na takie narracje propagandowe i dezinformacyjne.

W raporcie pokazuje też, kto najczęściej nadaje te treści. Co to za profile?

Identyfikowaliśmy zwykle top 10 kont na platformach X i Facebook, które udostępniały treści z największymi zasięgami. Część z nich to konta, które pojawiały się już w naszych wcześniejszych raportach, na przykład Martin Demirov czy konto TadKapla. Regularnie wysoko pojawiają się też znane osoby ze świata polityki, w tym europoseł Grzegorz Braun; odnotowaliśmy go też w raporcie za kwiecień–lipiec, jak i we wcześniejszych monitoringach.

I jak pan to skomentuje?

To jest dla mnie szczególnie martwiące. Dopóki dominowały anonimowe profile pod pseudonimami, konta, które trudno zweryfikować i o których można podejrzewać, że są botami albo elemen-

tem kampanii propagandowych, można było mówić: to gdzieś krąży na obrzeżach. Ale kiedy identyfikowalny polityk, osoba z imienia i nazwiska, zaczyna rozpowszechniać treści, które według naszej metodologii kwalifikują się jako antyukraińska propaganda, to zmienia ciężar sprawy. Mówimy o kimś, kto startował w wyborach i zdobył zauważalny wynik, albo o postaciach od lat obecnych w debacie publicznej, jak Janusz Korwin-Mikke. Wtedy mam wrażenie, że przykład idzie z góry. Jeśli takie osoby promują ten styl rozmowy o polityce, część społeczeństwa może uznać, że to jest dopuszczalne, że tak się teraz mówi, że to normalny język debaty. A potem ten język zaczyna się rozlewać dalej i wychodzi do świata offline

Jak upewnialiście się, że nie mylicie debaty, choćby historycznej, z nienawiścią? Gdzie przebiega granica między ostrą opinią a propagandą?

Bardzo nam na tym zależało. Ludzie mają prawo być krytyczni wobec władz ukraińskich. W demokracji jest miejsce na głosy sceptyczne, dopóki opierają się na argumentach. Tak samo temat polityki historycznej, w tym oczekiwaniami dotyczącymi rozliczeń, jest tematem, który może i powinien się

pojawiać w debacie. Podobnie, jeśli dochodzi do konkretnych zdarzeń, zamieszek, incydentów, przestępstw; o tym też można mówić. Ale kluczowe jest to czy trzymamy się faktów i nie robimy z pojedynczych przypadków uogólnień. Granica pojawia się wtedy, kiedy ktoś buduje obraz: „Wszystko, co z Ukrainy, jest złe”, albo na podstawie jednego przestępstwa wyciąga wniosek, że „Wszyscy Ukraińcy są zagrożeniem, a wszyscy Polacy są przez nich w niebezpieczeństwie”. To już nie jest dyskusja o faktach, tylko mechanizm nakręcania lęku i wrogości. Przykład: post informujący, że na Ukrainie odbyła się uroczystość związana ze Stepanem Bandera sam w sobie nie jest antyukraińską propagandą, to informacja. Ludzie mogą to komentować, wyrażać dezaprobatę, domagać się rozliczeń historycznych. Ale jeśli ten sam fakt jest potem wykorzystywany do budowania tezy, że „wszyscy Ukraińcy są tacy a tacy”, to wchodzimy w narrację wroga, nieopartą na rzetelnym wnioskowaniu.

Raport ma charakter obserwacyjny; pokazuje korelacje, nie dowodzi wprost, że propaganda zmienia nastroje. Ale gdzie pan widzi najbardziej niepokojące zbieżności między

tym, co widać w sieci, a na przykład sondażami?

W sondażach widać zmianę nastawienia i w różnych kierunkach. Z jednej strony Polacy słabiej popierają wspieranie Ukrainy i spada zaufanie do Ukraińców. Z drugiej strony rośnie odsetek Ukraińców deklarujących, że po wojnie chcą wrócić do swojego kraju – czyli prawdopodobnie też nie chcą zostawać. Na podstawie naszych danych nie udowodnimy, że to wynika bezpośrednio z natężenia antyukraińskich treści. Możemy mówić o współwystępowaniu zjawisk. Jest też naturalny proces zmęczenia, po początkowej fali solidarności, szczególnie silnej w pierwszych miesiącach po pełnoskalowej inwazji Rosji, w trendach sondażowych widać stopniowy spadek sympatii i gotowości do wsparcia. Ale jednocześnie część tego, co wykryliśmy, może być nieautentyczna: pochodzi od botów albo skoordynowanych siatek anonimowych kont. I to też jest groźne, bo tworzy wrażenie, że dana opinia jest powszechniejsza, niż jest naprawdę. Ktoś wchodzi na Facebooka czy X, widzi dziesiątki podobnych wpisów, a do tego jeszcze polityka mówiącego w tym tonie i może pomyśleć, że skoro wszyscy tak mówią, to tak się teraz myśli o Ukraińcach. A stąd już krok do przyjęcia tego języka jako normalnego.

Czego w waszych danych nie widać? Jakie są białe plamy tego raportu: zamknięte grupy, komunikatory, TikTok? I czy to pana martwi?

Tak. Zdecydowanie brakuje nam danych z zamkniętych grup – i to jest coś, czego bardzo

żałuję. Mam nadzieję, że przy kolejnej edycji podobnego raportu uda się to sprawdzić, bo podejrzewam, że wnioski mogłyby być inne. Zamknięte grupy rządzą się swoją logiką: ludzie pozwalają sobie tam na więcej. Nie mieliśmy też dostępu do Telegrama, a tam dzieje się bardzo dużo dyskusji politycznych, często, nazwijmy to wprost, sterowanych z zewnątrz. Telegram bywa miejscem, gdzie kolportuje się konkretne narracje, które później dopiero przebijają do innych mediów społecznościowych. Mogę podać przykład: kiedy doszło do naruszenia polskiej przestrzeni powietrznej przez rosyjskie drony, tej samej nocy na rosyjskojęzycznych kanałach na Telegramie pojawiały się już przekazy, które miały zrzucać winę na Ukrainę. Potem te treści były tłumaczone na polski i trafiały do polskich mediów społecznościowych. To pokazuje, że Telegram jest realnie wykorzystywany jako narzędzie do sterowania dezinformacją. Nie badaliśmy też TikToka. A podejrzewam, że byłby wart osobnego spojrzenia, tylko że to trudniejsze metodologicznie, bo TikTok opiera się na wideo, a my skupiliśmy się na treściach tekstowych i słowach kluczowych.

Wróć do nadawców tych treści, w tym do polityków i partii. Czy ma pan pewność, że w ich przypadku to nie są prosto ostre opinie, tylko kampania, która dehumanizuje Ukraińców?

Przyznam, że na tym etapie długo dyskutowaliśmy o granicy między dopuszczalnym głosem w debacie a tym, co jest już, mówiąc wprost, przesadą

KTOŚ WCHODZI NA FACEBOOK A CZY X, WIDZI DZIESIĄTKI PODOBNYCH WPISÓW, MOŻE POMYŚLEĆ, ŻE SKORO WSZYSCY TAK MÓWIĄ, TO TAK SIĘ TERAZ MYŚLI



FOT. KRZYSZTOF KAPICA

Piotr Litwin: Kiedy identyfikowalny polityk, osoba z imienia i nazwiska, zaczyna rozpowszechniać treści, które według naszej metodologii kwalifikują się jako antyukraińska propaganda, to zmienia ciężar sprawy

i wejściem w propagandę. Na początku, pracując z narzędziem we współpracy z Instytutem Monitorowania Mediów, na wstępnej liście kont mieliśmy jeszcze kilku polityków, których ostatecznie wykluczaliśmy, bo uznaliśmy, że mieszczą się w ramach dopuszczalnej debaty. Był na przykład polityk prawicowy, który regularnie pisał o tym, że Ukraina nie rozliczyła się z Polską w kwestiach historycznych, albo że nie współpracuje tak, jak byśmy chcieli, przy ekshumacjach. I to są tematy, o których można rozmawiać, nawet twardo, o ile zostajemy przy faktach. Nasz raport nie jest narzędziem do cenzurowania głosów. Można krytycznie dyskutować o relacjach polsko-ukraińskich, można mówić o problemach po stronie Ukrainy, o nieprawidłowościach czy sprawach głosnych medialnie, choćby o wątkach korupcyjnych. Nam chodzi o coś innego: o niemerytoryczne przekazy oparte na mowie nienawiści, nastawianiu Polaków przeciwko Ukraińcom i budowaniu poczucia, że „Ukraińiec jest zagrożeniem”. To jest ten moment, kiedy nie ma argumentu ani faktów, a jest straszenie, że „w Polsce jest już groźniej”, że „tracimy państwo”, że „Polacy są obywatelami drugiej kategorii”, że „Ukraińcy są uprzywilejowani” i „niebezpieczni”. Takie narracje widzimy od trzech lat, od początku pełnoskalowej inwazji, i one wracają wciąż w podobnym kształcie.

Wspomniał pan o wecie prezydenta wobec ustawy o pomocy obywatelom Ukrainy – i o tym, że wtedy w sieci był wyraźny

pik nienawistnych treści. Jak to czytać? Czy to dowód, że słowa z góry pracują potem w kanałach dezinformacyjnych?

Rzeczywiście widzieliśmy taki pik. On zresztą zbiegł się w czasie: jeśli dobrze pamiętam, w podobnym okresie było i weto ustawy, i chwilę później naruszenie przestrzeni powietrznej przez drony. Wtedy zauważyliśmy kilka głośnych akcji narracyjnych, które próbowały przerzucić winę na Ukrainę. Pojawił się nawet fałszywy przekaz, że drony przyleciały do Polski, bo Ukraina się na nas mści, skoro prezydent zawetował ustawę. Taki schemat: jedno wydarzenie polityczne, do tego incydent bezpieczeństwa, i natychmiast gotowa opowieść, która ma wzniecać gniew i dzielić społeczeństwo. To mogło mocno oddziaływać w danych, które dostaliśmy z IMM. Jednocześnie nie da się udawać, że wszyscy myśleli tak samo. Było wielu ludzi, którzy popierali weto, bo mamy w Polsce różne opcje polityczne i różne wrażliwości. Ale właśnie dlatego, że przez kilka dni to był temat numer jeden: „Czy Polska powinna wspierać Ukrainę”, stało się to świetną okazją do podsycania emocji: zarówno przez realnych użytkowników, jak i jak podejrzewam, przez część kont nieautentycznych, botów czy skoordynowanych siatek. Z perspektywy Kremla to jest korzystne: utwierdzać Polaków w przekonaniu, że nie powinni pomagać Ukrainie. Więc momenty, kiedy debata jest rozgrzana, są idealne do podbijania antyukraińskiej propagandy. I jeszcze jedna rzecz, na marginesie: jeśli mamy do czynienia z nieauten-

tyczną aktywnością, botami, trollami, siatkami kont, to ich celem bywa nie tylko podsycanie jednej strony sporu, ale szerzej: chaos. Zdarza się, że działają po obu stronach, tworząc wrażenie totalnego harmidru, w którym coraz trudniej się porozumieć i coraz łatwiej o radykalizację.

W raporcie aż 92,5 proc. zidentyfikowanych antyukraińskich wpisów pochodzi z platformy X. To znaczy, że X jest dziś najbardziej toksycznym miejscem dla antyukraińskiej propagandy, czy po prostu najlepiej można to zmierzyć akurat tam?

Myślę, że to jest miks obu rzeczy. Z jednej strony, i pozwolę sobie tu na prywatną opinię, X jest platformą dość toksyczną, zwłaszcza po przejęciu przez Elona Muska i po zmianach, które tam zaszły. Moderacja treści wyraźnie osłabła: jest mniej moderatorów, mniej egzekwowanych zasad, więc to sprzyja temu, żeby pojawiało się więcej treści problematycznych. Z drugiej strony w grę wchodzi mechanika samej platformy i to, jak wraz z IMM mierzymy zasięgi. Na X każdy wpis, także komentarz, jest liczony jako osobny post. Jeśli ktoś napisze post i pod nim wybuchnie dyskusja, to każdy komentarz staje się oddzielnym bytem: może być wyświetlany niezależnie, może być osobno udostępniany i zbiera własne odśledzenia. To działa inaczej niż na Facebooku, gdzie mamy jeden post i komentarze pod nim. W naszym IMM zasięgi i wyświetlenia były ważnym wskaźnikiem, więc ta struktura X mogła wzmacniać wynik. No i jest jeszcze kwestia dostępności da-

nych: na X praktycznie wszystko jest na zewnątrz. Wystarczy przeglądać. Na Facebooku wiele treści jest w prywatnych grupach (do których nie mieliśmy dostępu), a część użytkowników ustawia posty jako prywatne. Na X to po prostu łatwiej znaleźć i śledzić. Dołączyłbym też, że na X łatwiej założyć fałszywe konto. A im łatwiej tworzyć wiele kont, tym łatwiej masowo rozsiewać i wzmacniać konkretne przekazy. I wreszcie rzecz najbardziej przyziemna: X jest platformą bardziej polityczną. Facebook częściej służy do udostępniania treści dotyczących życia codziennego czy czy kontaktu z przyjaciółmi rodziną podobnie. Za to X jest skonstruowany do konfrontacji: krótkie wpisy, szybkie riposty, udostępnianie z komentarzem. Atmosfera bywa tam bardziej kłótniwa i polityczna niż gdzie indziej.

W raporcie opisujecie konkretne narracje: „Ukraińcy to naziści”, „wciągają nas do wojny”, „życie na koszt Polaków”. Piszesz też o oskarżeniach, że „zabierają NFZ”, choć dane pokazują, że ich składki przewyższają koszty leczenia. Dlaczego akurat takie przekazy tak łatwo zapuszczają korzenie?

Zaryzykuję, że sprowadza się to do psychologii. Na ludzi mocniej działają pojedyncze, anegdotyczne historie niż perspektywa statystyczna czy spojrzenie z zewnątrz. Mamy dostęp przede wszystkim do własnych doświadczeń i opowieści, które krążą w naszym otoczeniu, a nie do całego obrazu społecznego. Dla-

tego jeśli ktoś usłyszy pojedynczą historię, na przykład o tym, że jakiś Ukraińiec gloryfikuje Bandere, to choć to jest jednostkowy przypadek, łatwo z tego zrobić w głowie wniosek o „szerszym zjawisku” i przypisać je całej grupie. Podobnie działa plotka czy opowieść o tym, że ktoś miał łatwiej z dostępem do lekarza. Nie wiem, na ile takie historie się zdarzają, ale nawet jeśli to jest tylko anegdota, potrafi uruchomić kulę śniegową: „Polacy są obywatelami drugiej kategorii”, „Ukraińcy są uprzywilejowani” i tak dalej. To jest mechanizm, który propaganda bardzo chętnie wykorzystuje: bierze przy-

padek budzący emocje i uderzający w moralność, a następnie buduje z niego większy filtr rzeczywistości. Co może zrobić pojedynczy użytkownik gdy wchodzi na Facebooka czy X i widzi takie sensacyjne, nienawistne treści? Jak reagować, żeby tego nie napędzać? Wierzę, że jako jednostki mamy wpływ na higienę cyfrową swoją i innych. Naturalnym odruchem bywa albo zignorowanie wpisu, albo wejście w kłótnię w komentarzach. I oba odruchy często są nieskuteczne: kłótnia zwiększa zasięg posta, bo algorytm widzi zaangażowanie, a pominięcie sprawia, że nic się nie zmienia. Dlatego warto robić trzy rzeczy. Po pierwsze: zgłaszać takie treści do moderacji. Każda platforma ma narzędzia do zgłaszania mowy nienawiści czy treści podsycających agresję. Po drugie: jeśli mamy do czynienia z postem, który nie tylko szerzy wrogość, ale też zawiera konkretne informacje, na przykład, że drony były ukraińskie albo że Ukraińcy biorą z NFZ więcej, niż wpłacają, to można to zgłosić do fact-checkerów, takich jak Demagog. My to sprawdzimy, pokażemy, co się nie zgadza, i wyjaśnimy, skąd taka narracja się wzięła. Czyli to co zalecam: reagować, ale odpowiedzianie. Nie napędzamy zasięgów awanturą w komentarzach. jmy, ajmy! jest jeszcze trzecia rzecz: praktykujmy nawyk mówienia „stop”: zatrzymuję się, zastanawiam, dopiero potem klikam. Bo wiele treści w mediach społecznościowych powstaje po to, żeby nami manipulować emocjonalnie. Warto czytać, warto szukać informacji, ale z głową. Czasem te 10 sekund namysłu wystarczy, żeby zobaczyć, że post nie opisuje świata, tylko próbuje zbudować nienawistny albo fałszywy obraz.

WAŻNE

- Od sierpnia do listopada 2025 roku w analizowanych serwisach społecznościowych (portal X, Facebook, Instagram, YouTube) opublikowano 185 766 wpisów o negatywnym wydźwięku, zawierających obraźliwe określenia stosowane wobec Ukrainy i Ukraińców. To wzrost o prawie 98 proc. względem okresu analizowanego poprzednio (kwiecień-lipiec 2025).
- Według szacunków Instytutu Monitorowania Mediów liczba kontaktów, które użytkownicy mediów społecznościowych mogli mieć z tym przekazem, wyniosła 66,4 mln. Oznacza to wzrost o 104 proc.
- Zdecydowana większość zidentyfikowanych antyukraińskich wpisów pochodzi z serwisu X – stanowią one 92,5 proc. wszystkich analizowanych materiałów i odpowiadają za 60,8 proc. zasięgu.
- Wśród kont publikujących treści nastawiające Polaków przeciw Ukrainie i Ukraińcom znalazły się liczne profile polityczne: konta Janusza Korwina-Mikkego, Grzegorza Brauna, Włodzimierza Skalika, Konrada Berkowicza, partii KORWiN i Konfederacji Korony Polskiej.
- Do podsycania antyukraińskich nastrojów w Polsce wykorzystano działania Rosji – wtargnięcie dronów z 9 na 10 września i akt dywersji na drodze kolejowej z Warszawy do Lublina. Największą liczbę negatywnych wpisów odnotowano po zawetowaniu ustawy o pomocy obywatelom Ukrainy przez prezydenta Karola Nawrockiego.

ROK 2026: POKÓJ CZY TYLKO WOJENNA PAUZA?

– Każdy mówi o pokoju, ale problemem jest kształt tego pokoju. Musimy obserwować Rosję. Jeśli po ewentualnym porozumieniu pokojowym nie przestawi swojej gospodarki z trybu wojennego, nie rozpocznie procesu demobilizacji, to będzie wskaźnik, czego chce Moskwa – wynika ze słów dr. Łukasza Wyszyńskiego, kierownika Katedry Stosunków Międzynarodowych Akademii Marynarki Wojennej w Gdyni

Tomasz Cbudzyński

Czy wojna na Ukrainie zakończy się w roku 2026? Negocjacje trwają i jest w nich sporo dynamiki, ale wydaje się, że to Putin będzie decydował o jej końcu.

Zacząłbym od tego, że w trwających negocjacjach, a precyzyjniej – w kolejnym podejściu do rozmów, które mają zakończyć wojnę, jest bardzo dużo uwarunkowań oraz interesów, które przy obecnym stanie wiedzy częściowo się wykluczają. Negocjacje nie są de facto prowadzone przez neutralnego gracza, który jest akceptowalny dla obu stron, a przez Stany Zjednoczone, które były i są zaangażowane w wojnę, będąc jednocześnie jednym z systemowych uwarunkowań jej trwania. Co więcej, prezydent Donald Trump zdecydował się na redefinicję relacji transatlantycznych. W kontekście różnej perspektywy państw europejskich na trwającą wojnę to dodatkowo skomplikowało zbiór celów wszystkich interesariuszy wojny. USA są także zaangażowane na innych kierunkach, starając się ustawić w relacjach z Pekinem. W tym kontekście wojna lub jej zakończenie i relacje z Moskwą mają dla Waszyngtonu istotne znaczenie. Można jeszcze długo wskazywać, jak poszczególne podmioty – interesariusze tej wojny – inaczej widzą i realizują swoje cele. Każdy mówi o pokoju, ale problemem jest kształt tego pokoju i to, co on zmieni nie tylko w regionalnej architekturze bezpieczeństwa, ale szerzej – globalnym rozkładzie sił, który dynamicznie się zmienia. Jeżeli przyjąć, że strony prowadzące wojnę oraz podmioty je wspierające mają narzędzia polityczne, poparcie społeczne i zasoby do walki, to moim zdaniem w roku 2026



FOT. KAROLINA MISZTAŁ

Modernizacja Marynarki Wojennej jest, z punktu widzenia naszej obronności, koniecznością

nie będziemy świadkami zawarcia trwałego pokoju. Ewentualne porozumienia będą jedynie pauzą, która stworzy punkt zapalny do eskalacji w razie potrzeby kolejnej destabilizacji politycznej w regionie. Co więcej, możemy kilkakrotnie być świadkami zbliżającego się końca rozmów i pokoju, który będzie z czasem inaczej interpretowany przez walczące strony i stanie się kolejnym polem geopolitycznej gry wokół Ukrainy.

Wydaje się, że jeżeli Ukraina zachowa niepodległość, podmiotowość międzynarodową, zyska środki na odbudowę i drogę do integracji europejskiej, kosztem Donbasu

i Krymu, to się w efekcie przed Rosją obroni. Czy to słuszna teza?

Utrata terytorium w przypadku wojny obronnej – a tak jest ona przedstawiana w Ukrainie – zawsze jest pewną porażką. Oczywiście trzeba mieć na uwadze, że Ukraina walczy z mocarstwem atomowym. Jednak narracja, która miała mobilizować społeczeństwo oraz poczucie sprawiedliwości będą się w tym przypadku konfrontować ze zmęczeniem wojną oraz oceną polityczną prezydenta Zełenskiego i jego ekipy politycznej. Gdyby doszło do takiego porozumienia, to musi ono dawać szansę na ogłoszenie sukcesu obu stronom. A de facto czterem, bo są jeszcze USA i państwa

europejskie. Scenariusz, o który pan pyta, wydaje się wstępnie akceptowalny dla każdej ze stron. Jednak nie ma w nim wielu elementów, w tym gwarancji bezpieczeństwa ze strony USA lub Europy, pozycji Ukrainy w systemie ekonomicznym (UE) lub architekturze bezpieczeństwa. Rosja nie zaakceptuje dążenia do NATO, chce ograniczeń zdolności ukraińskiej armii i nie chce zaangażowania szerszych sił międzynarodowych na linii ewentualnego rozgraniczenia. Pytaniem otwartym pozostaje również kwestia statusu Donbasu i Krymu, czy byłyby terytoriami spornymi, czy Kijów i Moskwa zgodziłyby się, że wchodzą na stałe w skład Fe-

deracji Rosyjskiej? Ponadto istotne dla obu stron byłoby doprecyzowanie, jakie części Donbasu i Krymu byłyby przedmiotem porozumienia. Uważam, że jest bardzo dużo znaków zapytania, nie tyle dotyczących terytorium, co wyobrażenia i znaczenia tych obszarów w dalszym rozwoju relacji pomiędzy państwami w regionie.

A niepodległość, niezależność Ukrainy po procesie zakończenia wojny?

No właśnie. Niepodległość Ukrainy rozumiana jako szansa utrzymania się aktualnych elit (nie odbierając prawa do ich demokratycznej wymiany), wsparcie gospodar-
cze, gwarancje bezpieczeń-

stwa (z udziałem USA), brak ograniczeń dotyczących własnej armii, choć przy deklaracji wstrzymania dążeń do członkostwa w NATO oraz utraty terytoriów, mogłaby być do zaakceptowania dla Ukrainy, a na pewno dla części państw europejskich. Obawiam się jednak, że nie jest to do przyjęcia dla Moskwy i Waszyngtonu. Z kolei utrata Donbasu i Krymu bez wyraźnych korzyści dla Ukrainy, będzie politycznie nieakceptowalna w Kijowie. Najpewniej będziemy słyszeć powtarzany już wcześniej głos prezydenta Zełenskiego, że decyzja o ewentualnym oddaniu terytoriów musi być zaakceptowana przez ukraiński parlament i mieć poparcie społeczne. Trudno się temu dziwić, gdy gra toczy się nie tylko o zewnętrzne bezpieczeństwo Ukrainy, ale także kształt sceny politycznej w najbliższych latach.

Co taki pokój będzie oznaczał dla Polski i wschodniej flanki NATO? Więcej bezpieczeństwa, bo Rosja zostanie powstrzymana, ale z drugiej strony może to być okres strategicznej pauzy, którą Rosja wykorzysta do przygotowań do agresji np. na Estonię...

Żeby odpowiedzieć na tak postawione pytanie, trzeba wskazać na kilka uwarunkowań trwającej wojny oraz osadzić ją w szerszym kontekście dotyczącym systemu międzynarodowego. Po pierwsze, celem tej wojny nie jest jedynie przejęcie kontroli lub trwałe osłabienie Ukrainy, a szersza redefinicja międzynarodowego układu sił. Zmiana ta dotyczy zarówno optyki Moskwy, jak i innych interesariuszy wojny – Stanów Zjednoczonych, państw europejskich oraz Chin. Po drugie, trwająca

wojna współistnieje i współoddziałuje z innymi regionami, które uwidaczniają napięcia na linii Pekin-Waszyngton, a szerzej dotyczą kontestowania amerykańskiej pozycji mocarstwowej w sferze gospodarczej, politycznej i wojskowej. Trzecim elementem są aktualne i przyszłe relacje transatlantyckie oraz zdolności polityczne i wojskowe państw europejskich do samodzielnego lub z częściowym udziałem USA, odstraszenia Rosji przed dalszą dekompozycją systemu bezpieczeństwa europejskiego. Gdyby poprzestać jedynie na tych założeniach oraz zestawić je ze stanem rosyjskiej gospodarki i faktem, że państwo to jest w pewnym sensie przedstawione na tryby wojenne, odpowiedź na postawione pytanie będzie pozytywna. Tzn. ewentualne porozumienie pokojowe nie zmniejszy zagrożenia do dalszych działań Federacji Rosyjskiej, które będą obliczone na redefinicję układu sił i architektury bezpieczeństwa w Europie. Można wręcz postawić tezę, że trwanie wojny utrudnia Rosji podejmowanie innych działań, które miałyby do wspomnianych zmian w systemie bezpieczeństwa doprowadzić. Tym, co najczęściej pojawia się w debacie publicznej w kontekście dalszych działań Rosji, jest groźba wojny z NATO lub państwami NATO. Tutaj jest oczywiście kilka uwarunkowań i znaków zapytania. Na przykład czy USA zaangażowałyby się w operację obronną? Czy państwa europejskie zachowają jedność polityczną? Te pytania są w ocenie każdej ze stron brane pod uwagę. Są one przestrzenią komunikacji strategicznej, wojny informacyjnej oraz działań hybrydowych, które mają dać odpowiedź Federacji Rosyjskiej oraz nam, do czego zdolny jest potencjalny przeciwnik i jak odpowie. Musimy jednak pamiętać, że ocena ryzyka tego, co nazywamy wojną kineetyczną z NATO, na przykład poprzez atak na Państwa Bałtyckie, będzie możliwa dzięki obserwacji kilku elementów. Po pierwsze, czy Rosja będzie mogła przestawić swoją gospodarkę z trybu produkcji wojennej? Po drugie, czy będziemy obserwować proces demobilizacji w armii, czy wręcz przeciwnie – proces rozbudowy i reorganizacji rosyjskich sił zbrojnych będzie postępował? Po trzecie, jaka będzie pozycja Moskwy w relacji z Pekinem i Waszyngtonem po porozumieniu pokojowym oraz jak potencjalna eskalacja lub jej brak będą wspierały interesy geopolityczne głównych sił systemu międzynarodowego? Niezależnie od powyższych działań, kluczowe będą działania



FOT. PAP/EP

Dr Wyszyński: Rosja chce ograniczeń zdolności ukraińskiej armii

państw europejskich. Zarówno na polu konsolidacji politycznej w ramach wspólnej perspektywy zagrożenia, jak i działań, których celem jest podniesienie zdolności obronnych. Musimy przy tym pamiętać, że zagrożenie nie może być rozumiane tylko jako napaść na jedno z państw NATO. Powinniśmy je widzieć szerzej jako element wojny hybrydowej, do której zalicza się sfera informacyjna, cybernetyczna, ekonomiczna i każda inna, która stanowi wartość i jest podatna na aktywność potencjalnego przeciwnika.

Jaka będzie rola Bałtyku w architekturze bezpieczeństwa regionu?

Morze Bałtyckie stało się w ostatnich latach istotnym polem rywalizacji geopolitycznej. Po jednej stronie mamy Federację Rosyjską, która przez port w Ust-Ludze oraz Primorsku eksportuje węglowodory stanowiące istotny element rosyjskiego PKB. Równocześnie, Moskwa straciła czasowo narzędzie ekonomicznego i politycznego nacisku na Europę w formie gazociągu Nord Stream. Należy także dodać, że w optyce Kremla bardzo negatywnie odebrane jest rozszerzenie NATO i wejście do Paktu Szwecji oraz Finlandii. Z tego powodu Bałtyk jest przestrzenią zarówno żywotnych interesów, jak i dążenia do utrzymania zdolności do oddziaływania na bezpieczeństwo w regionie, a pewnie w najlepszym wypadku cofnięcie procesów dotyczących integracji państw w ramach struktur wojskowych. Po drugiej stronie są państwa NATO, dla których Bałtyk to również przestrzeń żywotnych interesów ekonomicznych, bezpieczeństwa energetycznego oraz bezpieczeństwa narodowego w wymiarze terytorialnym. Mając na uwadze, że interesy Rosji i państw NATO lub części państw NATO, będą sprzeczne w najbliższych latach, należy się spodziewać utrzymania skali

napięć i incydentów lub nawet ich narastania. Mówimy o działaniu floty cieni, niszczeniu infrastruktury podmorskiej, działaniach wobec infrastruktury krytycznej, naruszeniach przestrzeni powietrznej, działaniach cybernetycznych oraz informacyjnych. Dla Polski Morze Bałtyckie jest coraz bardziej istotne. A dokładnie, jego bezpieczeństwo. Wynika to z dwóch elementów. Po pierwsze, dywersyfikacji dostaw surowców energetycznych drogą morską oraz rozwoju energetyki w tej części Polski. Po drugie, rosnącego udziału przeładunków portowych w PKB naszego państwa.

Czy modernizacja Marynarki Wojennej jest dobrą odpowiedzią na zagrożenia w regionie? Polska Marynarka Wojenna jest w fazie budowy nowych okrętów, fregat, okrętów rozpoznania radioelektronicznego. Ma też mieć nowe okręty podwodne. To będzie skuteczne narzędzie odstraszenia?

Tak. Szkoda jedynie, że modernizacja została tak późno rozpoczęta. Nie ulegajmy też złudzeniu, że obserwowane działania są wystarczające. One są konieczne, ale nie zaspokajają wszystkich naszych potrzeb. Obok okrętów musimy mieć lotnictwo morskie, zdolności w zakresie detekcji i łączności, odpowiednie zaplecze i zdolności logistyczne, możliwości prowadzenia napraw i modernizacji oraz najważniejsze – dobrze wyszkolone i posiadające odpowiednie morale kadry. To wszystko wymaga ciągłych działań. Część z nich jest prowadzona. Część potrzebuje nadal dużo pracy i nakładów finanso-

wych. Nie bez znaczenia są tutaj decyzje polityczne, polegające nie tylko na uruchamianiu środków, ale także myślenia w kategoriach wieloletniej perspektywy, która w swojej zasadniczej części powinna być przedmiotem konsensusu politycznego i społecznego. Marynarka Wojenna jako część Sił Zbrojnych RP oraz jeszcze szerzej, potencjału obronnego państwa, jest nam potrzebna dzisiaj i w przyszłości, żeby nie tylko samodzielnie dbać o nasze interesy i strefę odpowiedzialności. Musimy być zdolni do współdziałania z innymi państwami regionu, żeby go skutecznie stabilizować i móc osiągać przewagi wynikające z geografii i zaangażowania sił wielu państw – efektu synergii – aby balansować i odstraszać ewentualnego przeciwnika. Nie mając takiego potencjału, będziemy w dużym uproszczeniu przedmiotem, a nie podmiotem bezpieczeństwa regionalnego.

Od kilku lat analitycy podkreślają, że Stany Zjednoczone przenoszą swój wysiłek transatlantycki na Pacyfik. Jak ma wyglądać rywalizacja Stanów Zjednoczonych z Chinami? Czy użycie wojsk jest realne? Zgodnie z nową Strategią Bezpieczeństwa Narodowego USA, Stany Zjednoczone zdają sobie sprawę, że wiele kwestii przespały. Tzn. Chiny stały się wyzwaniem wielowymiarowym i globalnym. To właśnie ta skala rozwoju Państwa Środka determinuje, z jednej strony aktualne pola rywalizacji Waszyngtonu z Pekinem, a z drugiej tworzy przestrzeń do dalszych tarć. W tym obszarze niewątpliwie pierwszoplanowa jest gospo-



FOT. JAKUB STEINBORN

Dr Wyszyński: Wojna między Chinami a USA jest możliwa

darka. Stany Zjednoczone będą na tym polu chciały przejąć kontrolę nad kluczowymi łańcuchami dostaw, w tym dostawami surowców niezbędnych dla przemysłu zbrojeniowego i nowych technologii, odbudować zdolności amerykańskich firm oraz zmienić zasady dotyczące rozliczeń w ramach globalnej gospodarki. Przypomnijmy zasady, które sami ustanowili, a które dzisiaj nie są dla nich już dostatecznie korzystne. Dostrzeżemy zatem agresywną politykę dotyczącą kontraktów na wydobycie węglowodorów, pamiętając przy tym, że USA same zwiększają swoje zdolności wydobycze i eksport w tym zakresie. Nasilać się będą cła i różnego rodzaju opłaty, które będą miały wyrównywać szansę gospodarki Stanów Zjednoczonych i Chin. Istotnym polem rywalizacji będą zaawansowane technologie, w tym te związane z energetyką, przestrzenią kosmiczną, transportem, sztuczną inteligencją oraz komunikacją. Tutaj rewalidacja oznacza duże inwestycje, wspieranie innowacyjności i kreatywności, a może nawet szpiegostwo przemysłowe i działania mające utrudnić rozwój drugiej stronie. Pytanie dotyczy jednak ryzyka wojny między oboma państwami. To ryzyko będzie rosnąć z uwagi na inne pole rywalizacji Chin i USA. Chodzi o amerykańską obecność w regionie Azji i Pacyfiku oraz zdolność Armii Amerykańskiej do oddziaływania na kluczowe szlaki handlowe Chin, zarówno w wymiarze eksportowym, jak i importowym. W tym drugim przypadku Pekin znacząco ograniczył zależność od takich arterii. Nie zmienia to jednak faktu, że jeżeli popatrzymy na geografie regionu, to wycofanie się Stanów Zjednoczonych z Tajwanu, Filipin, Japonii, Korei Południowej, Australii itd. znacząco ułatwiłoby Chinom budowanie pozycji regionalnego, a dalej globalnego mocarstwa, zdolnego do gwaran-

owania nowej architektury bezpieczeństwa. Co więcej, dla Chin, i pewnie osobiście Xi Jinpinga, pierwszym elementem dekompozycji pozycji USA w regionie jest przyłączenie Tajwanu. Amerykanie zdają sobie sprawę, że porażka w rozgrywce o przyszłość Tajwanu będzie miała głębsze konsekwencje. Będzie ona równoważna z podważeniem lub może nawet utratą zaufania regionalnych sojuszników do roli Waszyngtonu jako gwaranta bezpieczeństwa. Inicjatywy takie jak AUKUS mogą przestać działać. Tokio lub Seul mogą inaczej budować swoją politykę bezpieczeństwa, a inne państwa zdecydować się na kurs w stronę chińskich gwarancji. Mając to na uwadze, należy zakładać, że możliwa jest wojna pomiędzy Chinami i USA o Tajwan lub szerzej – panowanie w regionie. Jest to jednak scenariusz bardzo ryzykowny dla obu graczy. Z jednej strony mamy rosnące mocarstwo, które produkcją zbrojeniową przegania Stany Zjednoczone. Z drugiej najsporniejszą armię świata, która posiada doświadczenie, praktykę oraz sieć baz i logistyki, która może umożliwić im stoczenie takiej wojny. Nie bez przyczyny w Nowej Strategii Bezpieczeństwa USA mówi się o zdolnościach do prowadzenia krótkich, ale bardzo intensywnych wojen, które USA muszą być w stanie wygrać. Temu mają służyć też zapowiediane programy zbrojeniowe, w tym dotyczące US Navy, np. „pancerniki klasy Trump”. Podsumowując, scenariusz zakładający wojnę pomiędzy Chinami i USA był, jest i będzie pewnie w najbliższej dekadzie prawdopodobny. Obie strony się na niego przygotowują. Mają jednak świadomość, że byłoby to starcie o bardzo wysoką stawkę i posiadające duży potencjał eskalacyjny oraz trudne w oszacowaniu w kontekście geopolitycznych konsekwencji. W tym zmiany rozkładu sił w systemie międzynarodowym.

TYM, CO NAJCZĘŚCIEJ POJAWIA SIĘ W DEBACIE PUBLICZNEJ W KONTEKŚCIE DALSZYCH DZIAŁAŃ ROSJI, JEST GROŹBA WOJNY Z NATO LUB PAŃSTWAMI NATO

Demograficzna katastrofa. Apokalipsa. Wymieranie. Z tymi hasłami i nagłówkami już się nieco oswoiiliśmy, także w Kujawsko-Pomorskiem. I jeśli na kimś one robią wrażenie, a nawet rzeczywiście martwią, to starsze pokolenie.

- To jest wasz boomerski lament. Bo żyjemy inaczej. Bo się boicie, że nie ma komu pracować na wasze emerytury. Bo to wy chcecie mieć wnuki - dobijająca do trzydziestki Natalia strzela do mnie słowami niczym z karabinu automatycznego. Ta torunianka dzieci na razie nie planuje. Znajomi z jej kręgu - w większości podobnie.

Arleta i Mateusz, także tuż przed trzydziestką i też z Torunia, na początku 2025 r. zostali rodzicami. Po raz pierwszy. - I świadomie. Mamy już oboje w miarę stabilną sytuację zawodową, mieszkanie po dziadkach. Teraz dzielimy się opieką nad Antosiem, mamy też opiekunkę. Ja już wróciłam do pracy - w skrócie kreśli sytuację torunianka. I nie kryje, że ich „plan na życie” zakłada jedno dziecko, jednego psa (już jest), ale za to wiele innych celów do zrealizowania.

Fakty i trendy

Twarde fakty są takie. Lament nad „katastrofą” (a nie - jak wcześniej - zapaścią) demograficzną słychać nad Wisłą od 2022 r. Wówczas urodziło się w Polsce zaledwie 305 tys. dzieci, najmniej od czasów II wojny światowej. Każdy kolejny rok znaczącej poprawy nie zapowiadał. I to trwa. Już na początku 2025 r. wskaźnik dzietności w Polsce spadł z 1,1 do poziomu 1,03 (dane GUS). Oznacza to tyle, że statystyczna Polka w tzw. okresie rozrodczym (15-49 lat) mieć będzie tylko jedno dziecko. Tymczasem dla zwykłej zastępowalności pokoleń konieczny jest współczynnik sięgający 2,1. O takim od dawna można zapomnieć, także w naszym regionie.

Polki matkami zostają coraz później. 20 lat temu rodziły pierwsze dziecko przed 24. rokiem życia. To przecież nie aż tak odległy czas, nie tylko z perspektywy demografów czy socjologów, ale i zwykłych ludzi. Dziś poraz pierwszy zostają matkami przed trzydziestką, a co trzecia Polka - po trzydziestce.

Trendem wzmacniającym się jest też tzw. późne rodzicielstwo. Matka co 20. dziecka w kraju rodzi je po czterdziestce, a zdarczają się też już rodzące „pięćdziesiątki”. Kiedyś „rzecz nie do pomyślenia”, dziś się dzieje. Wpływ na to ma nie tylko medycyna, in vitro, ale i przemiany obyczajowe.

Problemy z płodnością, świadoma rezygnacja z uprawiania seksu (tzw. białe związki i małżeństwa), samotność i kłopoty ze znalezieniem partnera/partnerki - to też zjawiska nasilające się. Podobnie jak większa społeczna akceptacja

DZIECKO CZY PIES? DEMOGRAFIA A WYBORY MŁODYCH W 2026 ROKU

Wskaźnik dzietności w Polsce spada, o zastępowalności pokoleń można zapomnieć. Czy rok 2026 będzie kolejnym, w którym młodzi „prędzej sprawią sobie drugiego psa, niż zdecydują się na dziecko”, jak lubią komentować starsi?

Małgorzata Oberlan

tzw. odmiennych orientacji seksualnych i związków jednopłciowych, które dzietności nie napędzają. Te ostatnie w ograniczonym, ale zawsze, zakresie mogłyby, ale brak w Polsce uregulowań podobnych niektórym krajom zachodniej Europy. Słusznie czy nie, można dyskutować, ale fakt pozostaje faktem.

500 plus? 800 plus? Dzietności nie podniosły. Rosną za to wskaźniki dotyczące dzieci urodzonych w Polsce przez kobiety imigrantki (różnych narodowości). W 2015 r. ten wskaźnik wynosił zaledwie 0,5 procent - w odniesieniu do wszystkich urodzeń. W 2025 r. to już 7 proc. - nie jakiś ogrom w całości, ale skok widać. Zresztą, już w 2024 r. co 16. dziecko w Polsce rodzi się, nie mając polskiego obywatelstwa - wynikało z danych Ministerstwa Cyfryzacji, czyli liczby zarejestrowanych urodzeń w bazie PESEL. (Za: Rzeczpospolita, 21.11.2024 r.).

Wreszcie - trend, od którego być może trzeba by zacząć. Posiadanie dziecka od dawna nie jest priorytetem młodego pokolenia. Bo z jednej strony - owszem - młodzi Polacy dostrzegają wiele pozytywnych aspektów rodzicielstwa. Ogromna większość uważa, że dzięki rodzicielstwu można się wiele nauczyć, że przynosi to wiele radości - to jasno wynika choćby z badania CBOS „Pokolenie Zi i Y o rodzicielstwie” (2025 r.).

Z drugiej strony jednak zdecydowana większość młodych ludzi jest zdania, że wychowanie dziecka w obecnych czasach jest dużym wyzwaniem, wiąże się z wieloma wyrzeczeniami i że można wieść szczęśliwe, spełnione życie nie mając dzieci. A do tego - trudno pogodzić pracę zawodową z opieką nad dziećmi. To też wynika z raportu CBOS. Wiele innych badań społecznych z ostatnich lat wskazuje, że dla młodej generacji cenne i ważne są: samorozwój, praca zawodowa i dobre zarobki, podróże, zdrowie fizyczne i psychiczne, dobre relacje z ludźmi, stan środowiska i przyszłość planety. W czółowce rodzicielstwa brak...



Większość młodych uważa, że wychowanie dziecka jest dziś dużym wyzwaniem, wiąże się z wieloma wyrzeczeniami, że można wieść szczęśliwe, spełnione życie bez dzieci

Młodzi o planach na 2026

Zuzanna, lat 25. Świeżo upieczony magister, humanistka, z pracą na umowie-zleceniu. Mieszka w Toruniu, z rodzicami. Cel na 2026 r.: wyprawa i wspólne mieszkanie z Pawłem. Dziecko? - Ojej, tak szybko?! - autentyczny śmiech.

Para o 5 lat starsza, którą podpytuje o plany przez messengera (odpowiadają „setami”, na raty, o różnych porach doby - jak im czas pozwoli), to Paula i Konrad, z trzydziestotysięcznego miasta w Kujawsko-Pomorskiem: - Tak, my jesteśmy ci, co „prędzej wezmą drugiego psa”, niż będą mieli dziecko. U nas też starzy tak marudzą i o wnuki pytają. Ale my mamy teraz inne plany. Konrad rozkręca swoją działalność. Ja mu pomagam, ale mam też swoją pracę w marketingu. Pies jest jeden (na razie). To Johnny, husky. Trzeba go porządnie wybiegać. W tym roku zostanie tatusem, już wszystko dogadane - zapowiada Paula.

Kolejna para to 28-latkowie, znów z Torunia. On ledwo się wyrwał z zakłętą kręgą pracy

„na słuchawkach”. Ona ma pracę, którą lubi, ale znów dostała umowę na czas określony. Zero poczucia stabilności. Nie chcą, żeby zdradzać ich imiona etc. Generalnie optymistycznie jakoś tego 2026 r. nie witają, bo przypływały się jeszcze problemy zdrowotne. Pies? Jest. Dziecko? W planach. Ale jeszcze nie teraz. - I niekoniecznie tutaj. Trzeba być realistami. Niewiele nas tu trzyma, co nas tu czeka? Myślimy o wyjeździe do większego miasta - nie kryją.

Statystyka i brak złudzeń

W Kujawsko-Pomorskiem wszystkie największe miasta województwa stopniowo tracą mieszkańców - jasno wynika z analizy lat 2016-2025. W tym okresie Bydgoszcz zmniejszyła się o ponad 32 tys. osób, a Toruń stracił niemal 9,5 tys. Włocławek skurczył się o około 14 tys., Grudziądz o około 8,8 tys., a Inowrocław o blisko 8 tys.

Spadek liczby ludności wynika głównie z ujemnego przyrostu naturalnego (w miastach rodzi się mniej dzieci, niż umiera

osób) oraz z migracji młodych ludzi do większych miast w kraju i za granicę.

Prognozy demograficzne do 2060 r., przygotowane przez Urząd Statystyczny w Bydgoszczy, wskazują, że spadek liczby mieszkańców będzie się utrzymywał. W Bydgoszczy liczba mieszkańców może zmniejszyć się do 219 tys. 426 osób, co oznacza utratę ponad 103 tys. ludzi w ciągu 35 lat. Toruń może liczyć 146 tys. 884 mieszkańców, tracąc ponad 46 tys. mieszkańców. Natomiast liczba ludności we Włocławku spadnie do poziomu 61 tys. 743 mieszkańców, Grudziądz do 62 tys. 958, a Inowrocławia - do 42 tys. 267 osób. Jak widać, niektóre miasta mogą stracić nawet ponad jedną trzecią swojej populacji...

Z psem do restauracji, na lody i po zakupy

Ewa Mieruszevska wraz z mężem Markiem prowadzą w Borach Tucholskich Siedlisko „Gacane”. „Siedlisko przyjazne dorosłym. Zapraszamy bez dzieci i młodzieży” - to ich pomysł na agroturystyczny biz-

nes, który prowadzą od dekady. Na starcie wielu wieszczyci im plajtę, ale szybko przekonali się, że trafili w rynkową niszę.

- Co ja obserwuję? Nasi goście to głównie ludzie bezdzietni, którzy nie chcą wypoczywać w towarzystwie tych, którzy dzieci mają. Przyjeżdżają do nas głównie z psami, na które zresztą jesteśmy jak najbardziej otwarci. I co ja widzę? Panów w wieku 30-40 lat, przy nogach których jest przynajmniej po jednym psie - opowiada pani Ewa.

To psy różne: rasowe i drogie, ale i adoptowane ze schroniska kundelki. Ale wszystkie kochane i zadbane. Ze specjalnymi ubrankami, dobraną karmą, zabawkami, zapewnioną opieką weterynarza, behawiorysty itd. - Panowie dzieci nie mają. Z rozmów wynika, że z tymi psami chodzą nie tylko na spacer czy jakieś treningi, ale też np. do restauracji, gdzie jest psie menu czy nawet na lody (dla psów). Tak jest np. w Trójmieście czy stolicy. Iz mojej perspektywy to jest rosnący trend - nie dzieci, lecz psów młodym przybywa - podsumowuje gospodyni „Gacanka”.

Tak wygląda wielki świat z perspektywy niewielkiego siedliska w Borach Tucholskich. Ale przecież podobne obserwacje dotyczą wielu innych miejsc w kraju. Osobnym wątkiem pozostaje fakt, że młodzi panowie przyjeżdżają też często bez partnerów. Podobnie jak kobiety bez partnerów. I te kłopoty ze „sparowaniem się” to kolejny znak czasów, który przełomu w demografii nie zapowiada.

„800 Plus” dzietności nie poprawia

pozytywny efekt demograficzny programu 500 Plus, wprowadzonego w 2016 r., był niewielki i krótkotrwały. Jak słusznie zauważa choćby portal Money.pl, w pierwszym roku działania programu (2017 r.) faktycznie doszło do wzrostu liczby urodzeń, jednak w kolejnych latach trend osłabł.

Zwiększenie kwoty świadczenia do 800 zł, które weszło w życie w styczniu 2024 r., również nie spowodowało przełomu. Bezsprzecznie program poprawił sytuację materialną polskich rodzin, ograniczył ubóstwo dzieci, choć wzrost inflacji w ostatnich latach częściowo i ten efekt zniwelował. Proste i automatyczne przełożenie pieniędzy od państwa na wzrost dzietności po prostu brak.

Co może dzietność poprawić? Szersza polityka rodzinna, która uwzględni stabilność finansową, dostępność mieszkań i łaczenie pracy z macierzyństwem, a także np. ulgi podatkowe dla pracujących matek. I to jednak sukcesu nie zapewnia - z ujemnym przyrostem naturalnym zmagają się od lat także inne państwa europejskie. ©©

ODWAŻNA OPERACJA NA SERCU 3-LATKA I SUKCES NA SKALĘ ŚWIATA

Marcin Śliwa



FOT. KARINA TROJOK

Operację przeprowadził zespół lekarzy z katowickiego GCZD, w tym dr n. med. Grzegorz Zalewski (na zdjęciu)



FOT. KARINA TROJOK

Serce, które było skazane na funkcjonowanie jednokomorowe, zostało przekształcone na serce dwukomorowe. Dzięki temu mały Arturek (na zdjęciu z mamą Katią) ma szansę na normalny rozwój i dużo lepszą jakość życia

W czasie ciąży nic nie wskazywało na jakiegokolwiek komplikację. O licznych wadach serca swojego dziecka Katia dowiedziała się dopiero po porodzie. - Byłam w szoku i nie mogłam nic powiedzieć, ale miałam bardzo duże wsparcie od rodziny i ludzi, z którymi mieszkamy. Zawsze powtarzają mi, że szklanka jest do połowy pełna i trzeba wierzyć - mówi matka małego Artura.

Chłopiec zawrócony ze szlaku serca jednokomorowego

Choć Arturek ma dopiero trzy lata, to przeszedł już cztery operacje. A i tak jego serce dalej było od normalnego funkcjonowania. - Trafił do nas z bardzo skomplikowaną wadą serca, ze skorygowanym przełożeniem, sercem w kształcie krzyża i zastawkami otwierającymi się do przeciwnych komór - tłumaczy dr n. med. Grzegorz Za-

lewski, kardiochirurg w Górnośląskim Centrum Zdrowia Dziecka w Katowicach.

Artur wcześniej prowadzony był we Wrocławiu „szlakiem serca jednokomorowego”. Okazało się, że w Katowicach może być leczony innowacyjną metodą, która pozwoli przebudować jego serce, tak by miało naturalną fizjonomię.

- Serce, które było skazane na funkcjonowanie jednokomorowe, zostało przekształcone na serce dwukomorowe. Rzeczy, które do tej pory dyskwalifikowały tych pacjentów z korekcyjnej dwukomorowej, czyli nieprawidłowości zastawki trójdzielnej do przeciwległej, lewej komory i niekomunikujący ubytek międzykomorowy, zostały rozwiązane operacyjnie. Został wytworzony nowy ubytek komunikujący i został przeprowadzony transfer zastawki trójdzielnej. To jest rzecz, która otwiera drogę wielu pacjentom do korekcyjnej dwukomorowej, którzy do tej pory byli

rozwiązywani szlakiem jednokomorowym - wyjaśnia Grzegorz Zalewski.

Dzięki tej operacji chłopiec ma szansę na normalne funkcjonowanie w przyszłości. - To są zabiegi, które ratują życie, bo ustawiają układ krążenia w sposób dający funkcjonowanie. Nie są to zabiegi, które ratują życie w perspektywie dni, ale miesięcy i lat. Oczywiście zmienia to przyszłość pacjenta, bo z sercem dwukomorowym ma zupełnie inną jakość życia, może inaczej patrzeć w przyszłość i inaczej może podejmować wszystkie decyzje w przyszłości, np. edukacyjne i sportowe. To zmiana charakteru życia na przyszłość - podkreśla Grzegorz Zalewski.

Pierwsze efekty zabiegu są już widoczne. - Pacjent czuje się dobrze, jest już chodzącym dzieckiem i funkcjonuje normalnie. Myślę, że w ciągu kilku dni będzie wypisany do ośrodka macierzystego, ale tylko po to, żeby ośrodek, który go prowadzi na co dzień, poznał pacjenta i będzie mógł w ciągu kilku dni wyjść do domu - mówi Grzegorz Zalewski.

Potwierdza to również mama Artura. - Wcześniej miał obniżoną saturację, przy wysiłku fizycznym zaczynał kaszleć i nie mógł normalnie oddychać. Teraz po operacji widzę, że ma większą saturację, robi po-

stępy i z każdym dniem jest coraz lepiej - mówi Katia.

10 godzin operacji, troje chirurgów i sztab pomocników

Ta pionierska operacja wymaga wielogodzinnego zaangażowania szerokiego sztabu medyków.

- Zabieg trwał około 10 godzin i jak zawsze zaangażowanych było mnóstwo osób: troje chirurgów, anestezjologów, którzy czasem zmieniali się w tej operacji, pielęgniarki anestezjologiczne i pielęgniarki chirurgiczne, a przy wprowadzeniu pacjenta brał udział cały zespół oddziału - wyjaśnia dr Grzegorz Gęca, kardiochirurg z Górnośląskiego Centrum Zdrowia Dziecka w Katowicach. - Innowacyjność tej metody polega na tym, że wycinamy przyczep po stronie lewej i transferujemy go do prawej komory, czyli tej prawidłowej. To zdarza się w tych szczególnie złożonych wadach - mówi dr Grzegorz Zalewski. - W tej wadzie jest to przebudowa tego serca w 80 procentach - dodaje.

Na sukces operacjiłożyło się kilka czynników, lecz najważniejsza była odważna decyzja.

- Po pierwsze, to jest decyzja o zrobieniu czegoś, co do tej pory wydawało się niemożliwe. W mniejszych zabiegach przy próbach transferu okazało się, że jest to wykonalne. To

zmiana koncepcji i sposobu myślenia o tych wadach - mówi Grzegorz Zalewski. - Są to pierwsze zabiegi transferu przyczepu zastawki trójdzielnej. Nie tylko w Polsce, bo dopiero zaczyna się w ogóle o tym myśleć na świecie. Idziemy z tym trendem i robimy wszystko, co można, żeby poprawić jakość życia pacjentom - dodaje.

Rozwój technologii medycznych również odegrał tu bardzo istotną rolę. - To jest też zmiana technik operacyjnych, że możemy przeprowadzać tak skomplikowane operacje jednoetapowo. Do tej pory było to rozłożone na 2-3 etapy, co dla tych dzieci było zbyt obciążające. Teraz dzięki technikom krążenia pozaustrojowego, narzędziom, mikrochirurgii możemy to robić jednocześnie i dzięki temu to się udaje - mówi Grzegorz Zalewski.

Przełom w leczeniu dzieci do 5. roku życia

Sukces lekarzy z Katowic otwiera drogę do normalnej przyszłości wielu małym pacjentom. - Tu czas ma znaczenie. Serce małego dziecka jest bardziej plastyczne, więc jeśli są to starsi pacjenci, to nie ma już możliwości przebudowy. Do tego 3.-4., ewentualnie 5. roku życia pacjentów leczonych szlakiem jednokomorowym możemy jeszcze odwrócić do szlaku dwukomoro-

wego i to staramy się robić, żeby zmienić ich jakość życia w przyszłości - mówi Grzegorz Zalewski.

Rolę w leczeniu odegrała też matka pacjenta, która cały czas przebywa z dzieckiem, także w sali pooperacyjnej, co do tej pory nie zdarzało się w Polsce.

- Od czerwca mamy dwiesale, na których rodzic dziecka może przebywać też na sali pooperacyjnej. Dla tych większych dzieci jest to dość istotne, bo o ile dla zaintrubowanego, nieprzytomnego po operacji pacjenta to może nie mieć aż takiego znaczenia, to kiedy jest tuż po wybudzeniu, a potrzebuje jeszcze być na sali intensywnej, to szuka rodzica. Rodzice są wsparciem dla dziecka i też troszkę dla nas - podkreśla Grzegorz Gęca.

Wkrótce mały Artur będzie mógł już odpocząć od widoku szpitalnego korytarza.

- Jeśli chodzi o leczenie operacyjne, to serce jest skorygowane w całości, więc nie planujemy już żadnych interwencji chirurgicznych. Oczywiście pacjent będzie pod stałą kontrolą. Ta operacja była właśnie po to, żeby dziecko mogło rozwijać się prawidłowo, żeby nie musiało być monitorowane na stałe, tylko żeby były to rutynowe kontrole, jak po mniejszych zabiegach, a serce miało fizjologiczny sposób funkcjonowania - wyjaśnia Grzegorz Zalewski.

*NA SUKCES ZŁOŻYŁO SIĘ KILKA
CZYNNIKÓW, LECZ NAJWAŻNIEJSZA
BYŁA ODWAŻNA DECYZJA. O ZRO-
BIENIU CZEGOŚ, CO DO TEJ PORY
WYDAWAŁO SIĘ NIEMOŻLIWE*

PROF. CZEPCZYŃSKI: WIDZIMY TO, CZEGO INNI NIE WIDZĄ

W świecie, w którym diagnoza często decyduje o życiu, medycyna nuklearna staje się jedną z jej najważniejszych gałęzi. Czym ona właściwie jest, jakie daje pacjentom możliwości i dlaczego wciąż pozostaje mało znana? Rozmawialiśmy z prof. Rafałem Czepczyńskim, prezesem-elektem Polskiego Towarzystwa Medycyny Nuklearnej

Syłwia Rycharska



Został Pan wybranym prezesem-elektem Polskiego Towarzystwa Medycyny Nuklearnej. Jak Pan przyjmuje tę funkcję?

Przed wszystkim jako wyróżnienie i zobowiązanie. Nie ukrywam, że jest w tym sporo satysfakcji, ale też bardzo duża odpowiedzialność: za całe środowisko, za rozwój naszej dziedziny i przede wszystkim za pacjentów. Bo ostatecznie wszystko, co robimy, robimy z myślą o nich. Z perspektywy wielu lat pracy traktuję tę funkcję także jako naturalną kontynuację tego, czym zajmowałem się dotąd. Choć w ostatnim dziesięcioleciu medycyna nuklearna w Polsce zrobiła wyraźny postęp: powstało wiele nowych zakładów, wykonuje się coraz więcej badań PET, to w statystykach nadal jesteśmy daleko w tyle za innymi krajami Unii Europejskiej.

Co dokładnie pokazują te statystyki?

Jeśli spojrzymy na liczbę badań czy terapii wykonywanych na milion mieszkańców, różnice są bardzo wyraźne. To pokazuje skalę problemu i jednocześnie ogromny potencjał dla rozwoju.

Skąd bierze się to zapóźnienie?

W dużej mierze z niskiej świadomości istnienia i roli medycyny nuklearnej w Polsce.

Także wśród lekarzy?

Tak. Część lekarzy może po prostu nie zdawać sobie sprawy z możliwości, jakimi dziś dysponujemy. Dlatego jako Polskie Towarzystwo

– Nie oglądamy narządów tak jak widzi je radiolog. Patrzymy, jak zachowują się komórki. To jest przewaga, szczególnie przy chorobach rozsianych, zapalnych czy przy wczesnych stadiach nowotworów – przekonuje prof. Czepczyński

FOT. WALDEMAR WYLEGAŁSKI

Medycyny Nuklearnej staramy się to zmieniać.

W jaki sposób?

Organizujemy wspólne, interdyscyplinarne konferencje i sympozja, nawiązujemy współpracę z innymi towarzystwami naukowymi, szczególnie w dziedzinach klinicznych. Bardzo zależy nam na tym, aby nasze metody diagnostyki i leczenia były zauważane i wykorzystywane w praktyce. Kluczowe jest porozumienie z lekarzami kierującymi. Jeżeli nasza diagnostyka nie będzie odpowiadała na ich potrzeby, to po prostu nie będą kierować pacjentów na nasze badania. A przecież wiemy, że w wielu przypadkach – zwłaszcza w chorobach nowotworowych – diagnostyka z użyciem izotopów promieniotwórczych jest najbardziej precyzyjna.

Jakie inne problemy stoją dziś przed medycyną nuklearną?

Jednym z najpoważniejszych jest wciąż niewystarczająca liczba specjalistów. Niska świadomość istnienia i znaczenia medycyny nuklearnej sprawia, że młodzi lekarze rzadziej wybierają tę specjalizację. Obawiamy się, że za kilka lat – kiedy zapotrzebowanie na nasze świadczenia jeszcze wzrośnie – możemy stanąć przed realnym problemem braku kadr.

Co robicie, by temu przeciwdziałać?

Prowadzimy działania popularyzatorskie skierowane do młodych lekarzy i studentów medycyny. Wykorzystujemy media społecznościowe, organizujemy akcje promocyjne, pokazujemy, że to nowoczesna, dynamiczna i bardzo potrzebna dziedzina.

Tylko do przyszłych specjalistów?

Nie. Działania kierujemy również do lekarzy innych specjalności, ale także do pacjentów. Rozpoczęliśmy współpracę z Radą Organizacji Pacjentów oraz z organizacjami zrzeszającymi pacjentów, np. chorych z problemami onkologicznymi i kardiologicznymi. Pacjenci doskonale rozumieją potrzebę szerszego stosowania metod medycyny nuklearnej i – co ważne – bardzo nam pomagają w docieraniu do decydentów.

Skąd bierze się pewien opór środowiska medycznego w stosunku do tej dziedziny?

Nie nazwałbym tego oporem – raczej przywiązaniem do utartych ścieżek, czasem obawą o długie kolejki, wysokie koszty, konieczność kierowania pacjenta do odle-

głego zakładu medycyny nuklearnej.

To kwestia wygody czy braku wiedzy?

Być może jednego i drugiego. Wiedza o naszych metodach nie dociera do lekarzy tak łatwo, jak wiedza o lekach. Firmy farmaceutyczne aktywnie docierają do lekarzy z informacją, a my nie „chodzimy” z naszymi metodami jak z produktami. Ale absolutnie nie chodzi o tworzenie złych emocji – kluczowa jest współpraca.

Zatrzymajmy się na chwilę. Jak najprościej wyjaśnić przeciętnemu pacjentowi, czym zajmuje się medycyna nuklearna?

Z definicji medycyna nuklearna zajmuje się zastosowaniem izotopów radioaktywnych podawanych do organizmu pacjenta w celu diagnostycznym lub terapeutycznym. Więc jak to różnicujemy? Do celów diagnostycznych stosujemy inne promieniowanie i do terapii inne. Ponadto medycyna nuklearna zajmuje się oceną funkcji tkanek i narządów. To jest fundamentalna różnica względem innych metod obrazowych. W wielu chorobach, szczególnie w nowotworach, zmiany anatomiczne widoczne na tomografii czy rezonansie pojawiają się później. Tymczasem zaburzenia funkcji możemy wykryć znacznie wcześniej.

Czyli medycyna nuklearna mówi pacjentowi nie tylko „jak wygląda”, ale „jak działa”?

Dokładnie. My nie oglądamy narządów w takim sensie, jak widzi je radiolog. My patrzymy na to, jak zachowują się komórki. Czy metabolizują glukozę szybciej? Czy dany proces jest aktywny? Czy guz zużywa energię? Poza tym oceniamy od razu cały organizm, a nie jakiś odcinek. To jest olbrzymia przewaga szczególnie przy chorobach rozsianych, zapalnych czy przy wczesnych stadiach nowotworów. Dlatego medycyna nuklearna doskonale wpisuje się w ideę medycyny spersonalizowanej, w której pacjent nie jest tylko „przypadkiem choroby X”, ale osobą z unikatową charakterystyką biologiczną tej choroby, wymagającą indywidualnego podejścia.

Jakie choroby najczęściej diagnozujecie?

Przede wszystkim nowotwory, stany zapalne i choroby serca. Wciąż wykonujemy także klasyczne badania scyntygraficzne, które – mimo ogromnego postępu technologicznego – pozostają bardzo przydatne. Scyntygrafia tarczycy, kości czy nerek to nadal podstawowe elementy diagnostyki.

A pacjenci endokrynologiczni?

To bardzo ważna grupa. Pomagamy pacjentom z rakiem tarczycy, ale też z chorobami łagodnymi, takimi jak wole guzkowe nadczynne czy choroba Gravesa-Basedowa. To są tradycyjne, wieloletnie zastosowania medycyny nuklearnej i – mimo że metody te mają długą historię – pozostają niezwykle skuteczne. Nic nie wskazuje na to, aby miały zostać zastąpione czymś lepszym. Zajmujemy się także chorobami nienowotworowymi. Przykładem jest terapia stanów zapalnych dużych stawów, szczególnie wtedy, gdy nie reagują one na standardowe leczenie.

Co z nowymi terapiami?

Przygotowujemy się do uruchomienia terapii raka prostaty przy pomocy ligandów PSMA. W kolejnych latach spodziewamy się dalszego rozszerzenia wskazań terapeutycznych – m.in. w raku piersi i w raku tarczycy. W naszym ośrodku na Uniwersytecie Medycznym w Poznaniu prowadzimy badania nad zastosowaniem PSMA w diagnostyce tych nowotworów. To pierwszy krok w kierunku badań nad potencjalną terapią również w tych wskazaniach.

Przejdźmy do PET. Wielu pacjentów mówi, że PET jest „najdokładniejszym badaniem świata”. Jak to wygląda z Pana perspektywy?

PET to metoda o ogromnej mocy diagnostycznej, ale trzeba pamiętać, że jej skuteczność zależy od biologii danego nowotworu. To nie jest tak, że PET jest dobry „na wszystko”. Dla niektórych nowotworów jest wręcz idealny – np. dla raka jelita grubego, raka płuca czy chłonia-tylko „przypadkiem choroby X”, ale osobą z unikatową charakterystyką biologiczną tej choroby, wymagającą indywidualnego podejścia.

To nie świadczy o tym, że

PET jest słaby, tylko że każdy nowotwór rządzi się własną biologią.

Czy pacjenci mają świadomość, że nie każdy nowotwór „świeci” w PET?

Nie. I to jest częsty problem. Wiele osób spodziewa się, że PET da im ostateczną odpowiedź na każde pytanie. Dlatego trzeba tłumaczyć, że PET jest świetnym badaniem, ale nie zastępuje całej diagnostyki – jest jej częścią. I jest to metoda, która ma charakter rozstrzygający, szczególnie w trudnych, niejasnych przypadkach.

Przenieśmy się teraz na lokalne podwórko. Jak wygląda medycyna nuklearna w Poznaniu i Wielkopolsce?

W Poznaniu mamy trzy zakłady medycyny nuklearnej, mamy dwa skanery PET, trzeci będzie w Uniwersyteckim Szpitalu Klinicznym – prawdopodobnie w najbliższym roku. Wydaje się, że to duża liczba jak na jedno miasto, ale w porównaniu do miast Europy Zachodniej to nadal niedużo. Wielkopolskie Centrum Onkologii dba o rozwój medycyny nuklearnej w regionie – jest już PET w Kaliszu, pewnie będą kolejne poza Poznaniem, tak więc perspektywy dla Wielkopolski są niezłe. W tym miejscu chciałbym zaznaczyć, że Poznań ma duże tradycje, ponieważ był pierwszym miejscem w Polsce, gdzie zastosowano terapię izotopową. W 1956 roku w klinice na Przybyszewskiego podano pierwsze dawki jodu radioaktywnego pacjentom z chorobami tarczycy. Olbrzymie zasługi odniósł w tym profesor Maciej Gembicki, który sprowadził tę metodę do kraju i od tego momentu zaczęły powstawać nowe ośrodki medycyny nuklearnej. Do tej pory w Uniwersytecie Medycznym w Poznaniu medycyna nuklearna jest zintegrowana z endokrynologią, co m.in. buduje potencjał i renomę tego ośrodka.

Czy taka liczba pracowni wpływa na dostępność badań?

Zdecydowanie. Większa liczba pracowni to krótsze kolejki, większa elastyczność, większa możliwość przyjęcia pacjentów pilnych. A trzeba pamiętać, że dla pacjentów onkologicznych czas jest kluczowy. Tym bardziej ogromny problem stanowi wciąż konieczność wyjazdów niektórych pacjentów za granicę w celu podania określonego preparatu.

Co Pan ma na myśli?

Niektóre radiofarmaceutyki nie mogą być produkowane w Polsce z powodów for-

malno-prawnych. Polskie przepisy są niezwykle restrykcyjne i traktują produkcję izotopów tak jak produkcję leków dożylnych, co generuje gigantyczne koszty. Tymczasem te związki mają bardzo krótki czas aktywności – kilkadziesiąt minut – i nie mogą być transportowane. W innych krajach UE produkuje się je na miejscu i podaje pacjentom bez takich barier. Efekt jest taki, że pacjenci wyjeżdżają za granicę, płacą ogromne pieniądze, a potem NFZ i tak refunduje te świadczenia. W Polsce można by to robić wielokrotnie taniej.

Co tutaj zawiodło? Prawo? Zbyt mały nacisk lobby?

Zabrakło dobrej woli i świadomości. W Polsce promieniowanie jonizujące wciąż budzi irracjonalny lęk, podczas gdy w stosowanych przez nas dawkach jest całkowicie bezpieczne. W krajach takich jak Francja czy Wielka Brytania to codzienność.

Jakie są realne koszty takich badań lub terapii?

Mówimy o kilku tysiącach euro za jedno badanie PET z rzadkim radiofarmaceutykiem. Część z nich była wcześniej produkowana w Polsce, np. w Bydgoszczy czy Gliwicach, ale po kontrolach NIK uznano te praktyki za niezgodne z prawem. Teraz jako PTMN pracujemy – przy wsparciu prawników – nad zmianą tych przepisów.

Co pacjent zyskałby na tych zmianach?

Zarówno dostęp do bardziej zaawansowanej diagnostyki i terapii, jak i szerszy wachlarz pacjentów, którzy mogliby z nich korzystać. Innym przykładem jest terapia PSMA w raku prostaty – bardzo skuteczna, poprawiająca jakość i długość życia pacjentów, w Polsce dostępna, ale póki co bez finansowania.

Wspomniał Pan o panującym w Polsce irracjonalnym lęku przed promieniowaniem jonizującym. Czyli pacjenci nadal boją się promieniowania?

Tak, bardzo często. Czasem jeszcze zanim wytłumaczę, na czym polega badanie, słyszę: „Czy to promieniowanie jest niebezpieczne”? „Będę świecić w nocy?”. Podkreślałam wtedy, że dawki, którymi operujemy, są naprawdę minimalne. To są ilości, które są całkowicie bezpieczne i nie stanowią ryzyka dla zdrowia. Ludzie kojarzą promieniowanie z czymś niebezpiecznym, natomiast trzeba rozróżnić promieniowanie terapeutyczne o dużych mocach od diagnostycznego, które ma moc minimalną.

A jednak część osób nadal obawia się, że takie badanie może wywołać nowotwór.

To mit. Teoretyczne ryzyko mogłoby się pojawić dopiero przy wielokrotnym, ekstremalnym stosowaniu badań – kilkadziesiąt razy – i nawet wtedy mówimy tylko o statystyce, nie o pewności. A u pacjentów, którzy rzeczywiście mają wiele badań, walczyliśmy o życie tu i teraz. Korzyść zdecydowanie przewyższa potencjalne, odległe ryzyko.

Gdyby mógł Pan wprowadzić jedną zmianę w systemie, która pomogłaby czy poprawiłaby dostęp do badań medycyny nuklearnej, co to by było?

Zniesienie limitów. Wiem, że obecnie jest to zły moment, żeby o tym mówić, ponieważ sytuacja finansowa Narodowego Funduszu Zdrowia jest powszechnie znana i istnieją nawet pomysły w resorcie, by przywrócić z powrotem limitowanie niektórych procedur, takich jak rezonans magnetyczny czy leczenie zaćmy. Ale gdyby panowały idealne warunki, to zniesienie wspomnianych limitów na badania medycyny nuklearnej skróciłoby znacznie kolejki i pozwoliło szybciej rozpoczynać leczenie. A w onkologii czas ma kluczowe znaczenie.

Na zakończenie: co daje Panu największą satysfakcję w tej pracy?

To może brzmieć egocentrycznie, mam nadzieję, że tak to nie wyjdzie, ale bardzo satysfakcjonujące jest to, że nasze metody często są tą ostatnią wyrocznią. Pacjent błąka się po gabinetach, po różnych lekarzach, nie wie, co mu jest – trafia do nas i my możemy mu wreszcie powiedzieć, że jest zdrowy albo gdzie jest problem i trzeba to leczyć. To ten rozstrzygający charakter PET daje ogromną satysfakcję. To nie wynika z tego, że my jesteśmy mądrzejsi, tylko z tego, że ta metoda pozwala widzieć więcej.

CV

Prof. dr hab. n. med. Rafał Czepczyński
Jest endokrynologiem, prezesem-elektem Polskiego Towarzystwa Medycyny Nuklearnej, a także m.in. kierownikiem Pracowni Medycyny Nuklearnej, Katedra i Klinika Endokrynologii, Przemiany Materii i Chorób Wewnętrznych Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu, kierownikiem medycznym Pracowni PET/CT Affidea Poznań.

SCHIZOFRENIA TO ROZSZCZEPIENIE DUSZY

Otylia Ejsmont ma 23 lata i od 12. roku życia choruje na schizofrenię. Razem z mamą, Ewą, założyła fundację Sperare, która pomaga osobom z chorobami psychicznymi. W szczerym wywiadzie opowiada o swoich głosach w głowie, pobytach w szpitalach psychiatrycznych i walce o nowe życie



FOT. WOJCIECH WOJTKIEWICZ

Agnieszka Domanowska

Jak to się zaczęło? Kiedy po raz pierwszy poczułaś, że coś jest nie w porządku?

Pierwsze sygnały mogły pojawić się wcześniej, ale najbardziej wyraźne wspomnienie wraca do wakacji między piątą a szóstą klasą szkoły podstawowej. Miałam wtedy 12 lat i byłam na obozie harcerskim. Pracowałam w kuchni opalonej drewnem, gdzie panował ogromny żar, a rura wydechowa nagrzewała się do czerwoności. W pewnym momencie, w oddali, zobaczyłam kobietę w chuście. Nie widziałam jej twarzy, a mimo to wydała mi niemal rozkaz: podejdź do tej rury i dotknij jej dłonią. To uczucie było tak silne, tak stanowcze, że bez zastanowienia wstałam i to zrobiłam. Zamiast odruchowo odsunąć rękę, przycisnęłam ją jeszcze mocniej. Bliznę po tym oparzeniu udało mi się wyleczyć dopiero kilka lat temu.

Głosy w głowie – kiedy się pojawiły?

Nie pamiętam dokładnie, kiedy się zaczęły. Słyszę je od tak dawna, że naprawdę nie wiem, jak to jest nie mieć głosów. Nie mam pojęcia, czy jest jakaś cisza, czy są jakieś myśli.

Możesz opisać te głosy?

Schizofrenia to rozszczepienie duszy. To jest jak lustro, które dzieli się na dwa, na trzy, na cztery. U mnie podzieliło się na całą masę. To jest szara masa, która jest bardzo nie-

zgodna wobec siebie. Jest część głosów, które mnie bronią, część głosów, które mnie oskarżają. Zwykle jest przewaga tych złych. Kłócą się między sobą, próbują mnie wciągać w dyskusję. Towarzyszą mi na każdym kroku. Ale to nie znaczy, że czuję się jakkolwiek mniej samotna – jestem bardzo samotna z nimi w głowie.

To się dzieje non-stop?

Nie, teraz nie. Jestem w dość dużej remisji, niecałkowitej. Czasami słyszę głosy, natomiast staram się je ignorować.

To jest moja wielka moc, że się tego nauczyłam. Ale równie dobrze za miesiąc mogę przeostać je ignorować. Choroba jest nieprzewidywalna – nie wiesz, kiedy wybuchnie znowu. Choć wypracowałam sobie tę umiejętność, za miesiąc mogę nie umieć z niej skorzystać.

Jesteś w stanie teraz żyć i funkcjonować?

Tak, jestem w stanie żyć i funkcjonować. Jestem też w stanie sprawić, żeby nikt nie zauważył, że nie jestem w danym momencie tu i teraz, tylko jestem z głosami. Nie mam pojęcia jak, ale automatycznie i podświadomie wykształciłam sobie tę umiejętność. Od dwunastego roku życia choruję, a mam 23 lata, więc zdążyłam się tego nauczyć.

Co było najgorsze w ciągu tych wszystkich lat?

Zawsze jak wspominam najgorsze rzeczy, myślę o swoich pierwszych pasach w izbie obserwacyjnej. To było ciężkie. Miałam ogromny atak. Wydrapałam sobie pół ręki – paznokciami. Ta pani, która kazała mi się wtedy na obozie oparzyć, siedziała na blacie i śmiała się ze mnie. Ja nie wiedziałam, że to ja to robię – wiedziałam, jakby to jej ręka mnie drapała. Byłam wtedy w szpitalu psychiatrycznym w Józefowie, na oddziale dziecięcym. Zauważył to jeden z wychowawców, miałam ścisłą obserwację. Zanieśli mnie do dyżurki. Musieli najpierw włożyć mnie w kaftan, bo się szarpałam. Nigdy nie zapomnę, jak jeden ochroniarz pobłogosławił mnie i modlił się nade mną. Te pasy były traumatyczne, ale gdyby nie one, prawdopodobnie straciłabym rękę. Rana była bardzo głęboka – goiła się

powoli, sączyła się i zakażała. Mama przywoziła mi specjalne opatrunki ze srebrem, które pielęgniarki regularnie nakładały. Ból towarzyszył mi przez wiele tygodni. Dziś blizna jest już prawie niewidoczna, ale kiedyś biegła tutaj, przez całe przedramię. To był chyba najgorszy moment w całej mojej historii choroby. Nie był to ostatni raz, gdy znalazłam się w pasach, ale żaden kolejny nie zapisał się w pamięci tak mocno, jak ten pierwszy.

Częściej nie byłaś w domu niż byłaś. W jakich miejscach przebywałaś?

Od 2015 roku, kiedy po raz pierwszy trafiłam do szpitala i mnie zdiagnozowano, byłam na paru oddziałach dziennych. Byłam w EU-RECE rok i trzy miesiące – na Wesołej w Białymstoku. To był strzał w dziesiątkę,

*CZĘŚĆ GŁOSÓW MNIE BRONI,
CZĘŚĆ GŁOSÓW MNIE OSKARŻA.
PRZEWAŻAJĄ TE ZŁE. KŁÓCĄ SIĘ
MIĘDZY SOBĄ, PRÓBUJĄ MNIE
WCIĄGAĆ W DYSKUSJĘ*

bo miałam motywację, żeby wyjść. Później trafiłam do Młodzieżowego Ośrodka Socjopsychiatrii w Otwocku. To był przełom. Tam była szkoła, która nie tylko przygotowywała do matury, ale przede wszystkim uczyła, jak przeżyć. Bez matury można przeżyć, ale szkoła średnia jest wymagana, nawet jeśli chce się zatrudnić jako kelner. To była ostatnia szansa dla osób, które z powodu choroby psychicznej nie mogły skończyć liceum. Gdyby nie ta szkoła, nie zdałabym matury. Czasami piszę z moją wychowawczynią. Inni nauczyciele też byli wyrozumiali – pamiętam, że na polskim spałyśmy z Zuzką i nikt nam nie robił z tego problemu. Byłam tak zalekowana, że czasami nie byłam w stanie inaczej funkcjonować.

Powstał o tobie film dokumentalny. Bardzo bolesne są sceny, w których twoja mama mówi o swoim cierpieniu. Jak wspominasz jej walkę o pomoc dla ciebie?

Cierpienie mojej mamy w tym filmie bardziej wybrzmiewa niż moje. Może nie bardziej, ale na równi. To jest największa fighterka (określenie kobiety walecznej – przyp. red.), jaką znam. Ja jestem fighterką, bo ona jest fighterką. Ona była fighterką za mnie przez wiele lat, bo ja żyłam trochę jak warzywo. To co pamiętam sprzed powstania pierwszych Centrów Zdrowia Psychicznego, to był dramat. Przychodzi dziecko na izbę przyjęć, a oni mówią: nie ma miejsc, nie możemy przyjąć. Albo przychodzi dziecko pocięte, w ciężkim stanie, a oni wiedzą dokładnie, że wróci za 2-3 dni w jeszcze gorszym stanie. Jak nie zostanie przyjęte do szpitala, trafia w próżnię. Trzeba było poczekać na tragedię. Dzięki Centrum Zdrowia Psychicznego wielu tragedii można uniknąć. Pamiętam przemęczenie lekarzy – jest tak mało psychiatrów, a jeszcze mniej psychiatrów dziecięcych. To zupełnie inne traktowanie pacjenta niż dorosłych.

Wspomniałaś o próbach samobójczych. Kiedy była pierwsza?
Miałam 13 lat. Próbowałam się utopić. Odruch bezwarunkowy jest taki, że próbujesz wyjść, ale nie wiedziałam, jak to zrobić. Nie wyszukiwałam w internecie, jak się zabić. Po prostu chciałam z nimi umrzeć – z głosami. Później były bardziej poważne myśli samobójcze, jak trafiłam do Drewnicy w Ząbkach. Żyłam w tak ogromnym lęku i poczuciu, że mojemu życiu bardzo dużo zagraża, że Bóg chce, żebym była martwa.

Postanowiłam sama to zrobić, żeby to było najmniej bolesne i żeby inni nie dostali rykoszetem.

Skąd wzięło się imię Otylia?

Jestem wierząca – miałam bierzmowanie jakieś 3 lata później niż większość moich rówieśników, bo chciałam być na to gotowa. Chciałam, żeby to była moja decyzja i moje wypuszczenie Jezusa do siebie, a nie dlatego, że wszyscy idą. To była naprawdę świadoma decyzja. Moją świadkową była moja przyjaciółka Martyna. Otylia to imię, które wybrałam na bierzmowanie. Otylia jest patronką osób chorych na słuch i wzrok. To można łatwo powiązać z moimi głosami i halucynacjami wzrokowymi. Po drugim lub trzecim pobycie w szpitalu zaczęłam bardzo intensywną psychoterapię. Efekty były spektakularne. Po pewnym czasie ogarnęłam, że już nie jestem tą samą Gosią, ale jeszcze nie jestem tą nową Otylią. Przez półtora roku przedstawiałam się jako Gosia Otylia. Dopiero na premierze filmu w Warszawie, podczas Millennium Docs Against Gravity, gdy zobaczyłam film po raz pierwszy, ogarnęłam, że to już to.

Czyli Otylia to symbol przejścia w nowe życie?
Tak, nowe życie, nowa osoba. Nie jest tak, że ją wykreowa-

łam – ona się wyłoniła z tego, co kiedyś było pod chorobą. Zasypałam sobą pustkę, która była przez długi czas.

Teraz jesteś na oddziale dziennym dla dorosłych. Planujesz psychoedukację?

Tak, jestem bardzo zadowolona z tego oddziału. Od stycznia, po jego zakończeniu, zaczynamy badania, bo chcemy jeździć z filmem i psychoedukacją. Jestem nowa w tym, co robię, ale chcę jeździć z psychoedukacją po liceach i szkołach podstawowych. Myślę, że to jest bardzo ważne. Temat mojej pracy licencjackiej to autoseksualizacja i seksualizacja dzieci i młodzieży w Polsce w latach 2010-2025.

Opowiedz o fundacji Sperare, którą założyłaś razem z mamą. Skąd pomysł na taką działalność?

Fundacja Sperare – od łacińskiego słowa „mieć nadzieję” – to dla mnie naturalna konsekwencja tego, przez co przeszedłam. Sama doświadczyłam, jak trudno jest zna-

leźć pomoc, jak bardzo system nie był gotowy na potrzeby osób z chorobami psychicznymi. Chciałam coś z tym zrobić. Fundacja wspiera osoby z zaburzeniami psychicznymi, edukuje społeczeństwo, walczy ze stygmatyzacją. Ale też daje nadzieję – bo ja jestem dowodem na to, że można żyć pięknie z chorobą, że można odnaleźć siebie na nowo.

Co to jest akcja skarpetkowa?

To jedna z naszych głównych akcji! Skarpetki są symbolem: różne, niepasujące do siebie, czasem dziurawe, ale wciąż potrzebne i ważne. Trochę jak ludzie z chorobami psychicznymi – różni, niekoniecznie „pasujący” do norm społecznych, ale równie wartościowi. Zbieramy skarpetki dla pacjentów szpitali psychiatrycznych, bo to taka podstawowa rzecz, o którą często się nie dba, a która daje poczucie godności. Ale to też akcja uświadamiająca – kiedy ludzie widzą te skarpetki, rozmawiają o zdrowiu psychicznym, o tym, że

różnorodność jest normą. To prosty gest, który otwiera trudne rozmowy. Dzięki akcji skarpetkowej docieramy do szkół, do urzędów, do zwykłych ludzi. I pokazujemy, że pomoc może być prosta – czasem wystarczy para ciepłych skarpetek i otwarte serce.

Prowadzisz też grupę samopomocową. Jak to wygląda?

Tak, to jedna z najbardziej wartościowych rzeczy, które robię. Grupa to bezpieczna przestrzeń, gdzie osoby z doświadczeniem choroby psychicznej mogą się spotykać, rozmawiać, dzielić swoimi historiami bez lęku przed osądzeniem. Ja tam jestem nie jako ekspert, ale jako ktoś, kto przez to przeszedł i wciąż przez to przechodzi. To ogromna siła – widzieć, że nie jesteś sam, że ktoś naprawdę rozumie, co czujesz, bo sam tego doświadczył. Spotkania są regularne i póki co otwarte dla wszystkich. Rozmawiamy o trudnościach, ale też o sukcesach – nawet tych małych, jak wyjście z domu czy umówienie się do lekarza. Dla wielu osób z chorobami psychicznymi takie rzeczy są ogromnym wyzwaniem. W grupie celebруем każdy krok naprzód. Budujemy społeczność ludzi, którzy się wspierają, którzy wiedzą, że choroba nie musi oznaczać końca – może być początkiem nowego życia.

Co chciałabyś powiedzieć osobom, które zmagają się z podobnymi problemami?
Że nie są same. Że jest pomoc, choć system daleki jest od ideału. Centra Zdrowia Psychicznego to wielki krok naprzód, ale wciąż trzeba walczyć. Ważne, żeby nie poddawać się, żeby szukać wsparcia. I żeby pamiętać, że choroba nie definiuje, kim jesteś. Możesz być sobą mimo niej – ja dopiero teraz to odkrywam.

INFO

Film dokumentalny „Posłuchaj, co chcę ci powiedzieć” opowiada historię jeszcze Małgosi, dziś Otylii – młodej kobiety z lekooporną schizofrenią, która mimo choroby próbuje budować samodzielne życie i spełniać marzenia. Kamera towarzyszy jej w codzienności, pokazując zarówno trudne momenty kryzysów psychicznych, jak i chwile siły oraz determinacji. Reżyserka Małgorzata Imielska tworzy intymny, empatyczny portret osoby żyjącej z chorobą, o której wciąż mówi się zbyt rzadko. Film był prezentowany na ważnych festiwalach dokumentalnych i można go obejrzeć na TVP VOD.



Otylia Ejsmont z Białegostoku wraz z mamą Ewą (z lewej) zostały bohaterkami filmu dokumentalnego „Posłuchaj, co chcę ci powiedzieć”

NOCNY DYŻUR. 60 SEKUND DO WYJAZDU

W budynku korytarze z przygaszonymi światłami. Ci ratownicy, których nie ma w pomieszczeniach socjalnych, są na wyjazdach. W pokoju, do którego wchodzimy, jest prawie domowo: kuchnia, stół, na nim serweta, choinka i talerzyk z pozostałościami oplatka. Już po firmowej wigilii.

W święta zło jest jakoś bliżej

Do pomieszczenia zagląda dwóch mężczyzn, witają się, przechodzimy wszyscy do pokoju socjalnego, który przez trwającą właśnie 24-godziną zmianę jest dla nich drugim domem. A tam dwa łóżka, aneks kuchenny, stolik kawowy, szafka.

Bartosz i Kamil właśnie przyjechali z interwencji na Bielawach. Niedaleko od stacji WSPR. Wezwanie dotyczyło urazu głowy.

- Uraz twarzoczaszki, akcja z nożem - mówi Bartosz Wiśniewski, krzątając się po pomieszczeniu. W końcu siada, przychodzi też Kamil. Możemy rozmawiać. - Ostatnio chyba więcej takich sytuacji.

Bartek ma za sobą 12 lat pracy w pogotowiu. Po dyżurach trenuje MMA. Kamil Lutowski jest ratownikiem od czterech lat. Zaczynał w 2021 roku, jeżdżąc w transportach covidowych.

W ogóle weekend to gorący czas. - Ratownicy z Markwarta „obrabiają” Stary Rynek, te wszystkie kluby, knajpki. Pamiętam jeszcze, kiedy jeździłem na P9 ze Słowiańskiej, to mieliśmy zawsze małe starcie, kto jedzie na wezwanie na Stare Miasto. Tam czekają nas niespodzianki. Wiadomo, ludzie pod wpływem alkoholu, środków odurzających. Dużo gapiów. Można wpaść w sam środek chaosu.

Bartek: - Właściwie to nie chodzi o czas w ciągu dnia czy dzień w tygodniu. Najczęściej przyczyną, dla której wyjeżdżamy na wezwanie, jest właśnie ten nieszczesny alkohol. On towarzyszy wszelkim urazom, aktom agresji, stanom depresyjnym.

I ten świąteczny akcent: wezwania związane z myślami suicydalnymi. - Jest ich więcej w święta, na pewno. Więcej kryzysów emocjonalnych, więcej ludzi, którzy zostają sami, rozpamiętują tych, którzy odeszli, nie potrafią sobie poradzić z problemami. Młodszy, starsi,

W sobotę wieczór na parkingu przy Markwarta w Bydgoszczy, w siedzibie Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego stoi kilka ambulansów. Dwa na włączonych silnikach. Jeden zespół właśnie przyjechał. Rozbłyskują niebieskie światła, szlaban się unosi, drugi wyjeżdża na interwencję

Maciej Czerniak



Jeżeli wezwanie jest pilne, ambulans musi wyruszyć do niego w ciągu 60 sekund. Na zdj. ratownik Łukasz Wierchucki

nie ma reguły. Takie święta z naszej perspektywy - mówi Maciej Romaniuk, ratownik z dziesięcioletnim stażem pracy.

Z nożem na odległość dwóch kroków

Jak alkohol, to i agresja. Bartek wspomina wyjazd sprzed miesiąca. Komunikat był krótki, hasłowy, jak zawsze: „Pacjent z zaburzeniami psychicznymi”. Pogotowie wezwali domownicy.

- Przyjeżdżamy, patrząc, a ten mężczyzna idzie na mnie z nożem. Był dwa metry ode mnie, kiedy się zorientowałem.

Szczęśliwie na miejscu był też patrol policji. Agresora udało się sprawnie obezwładnić. Bartek chwycił jedną rękę, tę w której niebezpieczny osobnik trzymał nóż, a policjant drugą. Akcja trwała sekundy - nóż wytracony, a niebezpieczny osobnik leży na ziemi. Potem transport do szpitala, do izby przyjęć psychiatrycznej.

- Był drobnej postury i pod wpływem alkoholu, więc szans z nami nie miał, ale nie zawsze musi tak być. Ludzie pod wpływem nie zastanawiają się nad konsekwencjami swoich decyzji, działają impulsywnie.

Wszystko mogło się zdarzyć.

Pacjent, który bije

W ostatnich latach nie brakuje doniesień o atakach na ratowników medycznych. Do jednej z najbardziej szokujących napaści doszło w 2024 roku, na bydgoskim osiedlu Opławiec. To była interwencja na ulicy domów jednorodzinnych. Pacjent był już w karetce, kiedy jego krewny odsunął drzwi ambulansu, wyciągnął z niego ratownika i ciężko go pobił. Ratownik trafił do szpitala ze złamaniami kości twarzy.

W listopadzie tego roku zakończył się proces w sprawie incydentu z 2018 roku. Bydgoski Sąd Okręgowy skazał Matthew L., amerykańskiego filmowca, za napad na ratownika medycznego i policjantów. Sąd podtrzymał wyrok pierwszej instancji, który zapadł w ubiegłym roku w Sądzie Rejonowym w Bydgoszczy. Od tego orzeczenia odwołał się wówczas poszkodowany ratownik medyczny. Ostatecznie Matthew L. ma zapłacić 75 tys. zł za brutalny atak, jakiego się dopuścił.

Do tego pamiętnego zdarzenia doszło podczas festiwalu fil-

mowego Camerimage. Około 5 nad ranem w hotelu Holiday Inn w Bydgoszczy, gdzie artysta przebywał, wezwano pogotowie ratunkowe. Jak wykazało późniejsze badanie, miał on w organizmie prawie 3 promile alkoholu. Kiedy jeden z ratowników próbował zbadać mężczyznę, ten uderzył go w twarz. Poturbowany ratownik trafił do szpitala m.in. z ułuszczeniem zębem. Na miejsce wezwano następnie policję. Wtedy L. miał „naruszyć nietykalność funkcjonariusza publicznego”.

Proces trwał latami, na pewnym etapie - mimo zaostrożnych przepisów „pandemicznych” - ambasada USA wydała zgodę na przyjazd adwokatów do Kalifornii, gdzie mieszkał oskarżony w ramach procedury specjalnej NIE (National Interest Exception). Sąd zgodził się na to. Problemy proceduralne sprawiły, że sprawa się przeciągała.

Ratownik, ale nie z serialu

Po ostatnich atakach zmieniło prawo. Teraz grozi za taką napad 5 lat więzienia. Decyzją ministra zdrowia resort zakupi też kamizelki nożoodporne. Od nowego roku mają przypaść na każdy zespół ratownictwa medycznego. Władze WSPR w Bydgoszczy zakupią ich jednak więcej - tak aby każdy z personelu miał swój sprzęt.

To nie jest idealne rozwiązanie. Kamizelki chronią część korpusu, ale pachy, szyja, okolice obojczyków nie są osłonięte. - Kompromis między ochroną i komfortem noszenia - kwituje Bartek.

- Nie mogą krępować ruchów ratowników w czasie akcji - dodaje Maciej.

Czy się sprawdzą? Na pewno zwiększą bezpieczeństwo. Jest tylko pewna obawa, czy widok takich „pancerzy” nie będzie prowokował.

Skąd w ogóle agresja wobec pracowników pogotowia? Dlaczego agresorami bywają osoby potrzebujące pomocy? Nie ma jednej odpowiedzi.

Kamil: - Żeby to zrozumieć, trzeba wyjść poza swoją perspektywę. Przede wszystkim ludzie niekoniecznie mogą chcieć pomocy ratowników, bo uważają, że nic im nie jest. Agresywny pacjent może mieć stany depresyjne, problemy osobiste, jakieś niepowodzenia finansowe, w pracy. Do tego dochodzi jeszcze wpływ alkoholu. Kiedy taki człowiek, który ma wiele na głowie i zaburzoną

zdolność oceny sytuacji widzi jeszcze zespół pogotowia...

Właśnie, to dramaty, ale przychodzi na myśl znany mem z cyklu: Oczekiwania i rzeczywistość.

Maciej: - Jeśli masz skrzywione postrzeganie tego, kim są ratownicy, bo na przykład wyobrażasz sobie, że - jak w serialach - przyjeżdża zespół z lekarzem, operują cię na miejscu zdarzenia i takie cuda, wianki - a widzisz tych dwóch ratowników, którzy nie spełniają twoich oczekiwań - to wtedy to całe twoje napięcie emocjonalne może eksplodować pod wpływem tego niezadowolenia. Pacjenci bardzo dużo od nas oczekują. Myślą, że prześlemy ich zaraz na stół operacyjny, że wszystko przyspieszymy, załatwimy każdą konsultację. Od razu rezonans będzie zrobiony. A to tak nie jest. Tak się nie da. Zderzenie oczekiwań z rzeczywistością bywa trudne.

Kiedy „przydarzy się dziecko”

Padają pytania: „Czemu tak długo?”, „Po co pan o to pyta?” - A my zbieramy wywiad podstawowy. Nie znamy zazwyczaj przeszłości chorobowej człowieka, nie wiemy, jakie ma uczulenia na leki, jakie przyjmuje. Bez tej wiedzy moglibyśmy zaszkodzić. Mierzymy parametry życiowe. Musimy wiedzieć, z jakiego punktu zaczynamy i jak się zmienia stan pacjenta. I znów pytania: „Po co to ciśnienie?”, „Po co pan ten klips zakłada?”, „Nie możemy jechać już do szpitala?”, „No, po co to?”. Tak rośnie napięcie. My możemy próbować je obniżyć, wygasić te emocje, ale nie zawsze się udaje - opowiada Maciej.

Dzieci. Każdemu ratownikowi prędzej, czy później „trafia się dziecko”. Maciej tłumaczy, że jeden na taki wyjazd czeka 10 lat, innemu zdarzy się



Ratownicy Kamil Lutowski i Bartosz Wiśniewski (po lewej) podczas rozmowy z Maciejem Czerniakiem

na samym początku, nawet na pierwszym dyżurze. Dzieci pozostawiają trwały ślad w pamięci każdego ratownika.

- Ja przeżyłem takie zdarzenie w pierwszym roku pracy - mówi Kamil. - Reanimacja. Dziewczynka miała chyba trzy lata. Kiedy przyjechaliliśmy na miejsce, już się przelewała ojcu na rękach. Zachłystowe zapalenie płuc. Długo o nią walczyliśmy, o jej życie. Niestety... została na miejscu.

Śmierć z dwóch perspektyw

W pokoju zapada cisza. Bombki, stroik, za oknem ciemność, za nią światło sączące się z sąsiedniego budynku, ze szpitala MSWiA w Bydgoszczy. Pijemy kawę, odzywa się alarm z tabletu w sąsiednim pokoju, poruszenie. Ratownicy wybiegają, mają sześćdziesiąt sekund, by wyruszyć na zgłoszenie - je-

żeli to jest kod 1., który oznacza pilny wyjazd na sygnałach.

Historia sprzed kilku lat: Wezwanie do potrącenia przez pociąg. Wiadomo tylko to, żadnych szczegółów. Na miejsce jedzie motoambulans, czyli motocykl ratunkowy. Jest też zespół na tzw. kołach, czyli podstawowy zespół ratownictwa medycznego z dwoma ratownikami. Widać tylko rozrzucone fragmenty ciała. - Nie było najmniejszej możliwości określenia płci, wieku. Nic - opowiada jeden z ratowników.

- Myślałem, że na tym się skończyła moja misja tego dnia. Na miejsce przyjechała policja, zajęła się sprawą. Wróciłem do bazy. Po około trzech godzinach dostałem wezwanie: „Osoba z zaburzeniami psychicznymi”. To jadę na miejsce, za miasto. Pani mówi, że nie może sobie poradzić z tym, co się dzisiaj wydarzyło. Okazało

się, że córka skoczyła pod pociąg. Poszła do szkoły, nie doszła do niej, ale właśnie na dworcowy peron i skoczyła. Nawet nie była pełnoletnia.

Na ścianach w domu zdjęcia, gdzieś tam rzeczy osobiste dziecka. - Dotarło do mnie, że to ta sama historia. To był dla mnie szok. Takie zdarzenie dwóch sytuacji, jedno życie, jeden wypadek, dwie perspektywy. Przecież byłem tam, by pomóc tej kobiecie. A sam też musiałem dźwigać ten ciężar.

Ciężar pamięci

- Zaraz mi się przypominają wszyscy po skokach z różnych pięter bloków - dodaje Kamil. Ratownicy przeżywają traumę podobną do tej, z którą mierzą się maszyniści w pociągach. - Nie mogą skrócić, zareagować, nie mają wpływu na to, że ktoś się rzuca

pod skład. Przy takiej prędkości i tonażu, to jest kilkaset metrów hamowania.

- Jak stado saren albo dzików wejdzie na tory i nie spłoszy się od trąbienia, to tylko słysząc „pach, pach, pach” i widać rozbrzydzi.

Ratownicy medyczni WSPR mają rocznie około 45 tysięcy interwencji. Tak naprawdę, trudno te wszystkie przypadki pamiętać. - Zapadają głębiej te, kiedy kogoś się udało albo kiedy nie udało się uratować. Kiedy ktoś zawdzięcza nam drugie życie. Przez ręce każdego z nas przechodzi kilka tysięcy osób.

Towarzysz ostatnich chwil

- Często zdarza mi się jeździć do pacjentów onkologicznych - mówi Maciej. - To osoby często u schyłku życia. Trzeba podejmować odważne decyzje,

kierować się dobrem pacjenta, rodziny. Jego prawem do godnego odchodzenia. Przejazd do szpitala to jest często dla nas najprostsze rozwiązanie - żeby kogoś po prostu zabrać. A sztuka polega na tym, żeby tego pacjenta dokładnie zbadać, zebrać wywiad, ocenić sytuację, zapoznać się z dokumentacją medyczną, poznać wolę pacjenta. Czasami to jest tak końcowy etap, że nie da się im pomóc. Można uśmierzyć ból, duszność, porozmawiać z nimi, spędzić trochę czasu w domu i tyle.

To są, jak mówi, bardzo delikatne wizyty. Jak rozmawiać z pacjentem o śmierci? Nikt ich, ratowników, na to nie przygotowuje.

Jeżeli rodzina widzi zaostrenie problemu u swojego bliskiego oczekuje od pogotowia ratunku. Naszym zadaniem jest zawsze pomagać.

- A przecież tam, gdzie możliwości terapeutyczne są wyczerpane i można o tym przeczytać w wypisie szpitalnym, że pacjent jest zdyskwalifikowany z dalszego leczenia, no to my tak naprawdę jesteśmy w oczach pacjenta i rodziny ostatnią deską ratunku - podkreśla Maciej. - I ta nadzieja bywa odebrana. Jesteśmy tymi ludźmi, którzy powiedzą, że się już nie da nic zrobić i czas się po prostu pożegnać. To jest dla nas ogromne wyzwanie. Nie każdy potrafi na takie tematy rozmawiać. Trzeba być delikatnym, uważać na każde słowo. To są dla mnie pacjenci najtrudniejsi. Wiem, co to znaczy, bo sam pochowałem chorującego na nowotwór tatę i brata. Obaj zresztą byli lekarzami.

Jest kilkanaście minut po godzinie 21. Dzwoni tablet: „Niemowlę, trudności z oddychaniem”. Kod 1. Ratownicy mają tylko sześćdziesiąt sekund na wyjazd. ©©



Weekendowy wieczór w WSPR przy Markwarta 7 to czas częstych wyjazdów



Ratownicy w drodze - trzeba bardzo szybko - ale bezpiecznie! - dojechać na miejsce

PROJEKTANTKA DOROTA GOLDPOINT: JAK UBRACĆ PIERWSZĄ DAMĘ

– To, że Marta Nawrocka wybiera fasony ze stójką, takie trochę mundurowe, uważam za bardzo dobre. Pokazuje charakter i własny styl. Najgorsze, co może się przydarzyć kobiecie w tej roli, to bycie przebraną – mówi projektantka Dorota Goldpoint, która przez 8 lat ubierała Agatę Dudę i dbała o wizerunek pary prezydenckiej

Anita Czapryn

Jak patrzy pani na styl pierwszej damy Marty Nawrockiej? Co jest w nim dobre, a co aż się prosi o korektę?

Zwykle, kiedy jestem wzywana do odpowiedzi, próbuję wskazać elementy, które ewentualnie warto byłoby dopracować, ale od razu chcę jasno powiedzieć: to, że ubierałam poprzednią prezydentową, a nie ubieram aktualnej, nie oznacza, że teraz będę pełna krytyki. Nie o to mi chodzi. Styl pani prezydentowej Nawrockiej uważam za poprawny, naprawdę dobry. I, co dla mnie ważne, adekwatny do jej osobowości. Marta Nawrocka wybiera rzeczy, które, mam wrażenie, są w jej DNA, w tym, jak się czuje i co lubi. Często wybiera fasony ze stójką, takie trochę „mundurowe”. To pokazuje, że ma swój styl i charakter. Dobrze, że wybiera rzeczy jej bliskie, bo nie ma nic gorszego niż kobieta, która w tej roli wygląda jak przebrana. Natomiast jeśli rozmawiamy o kruczkach krawiectwa miarowego, to mam kilka uwag związanych z konstrukcją i doborem materiałów. Tyle że to jest już po stronie osób, które pracują z panią prezydentową. Bo nawet jeśli ona sama wybiera fasony, to ma prawo nie wiedzieć, czy dany krój w tej tkaninie się sprawdzi i będzie dobrze wyglądał. To jest kwestia wiedzy i doświadczenia ludzi, którzy zajmują się tym zawodowo. A ja mam wrażenie, że jej zakłady nie zawsze są doskonale skonstruowane.

No i zauważyła pani, że prezydentowa Nawrocka założyła tę samą białą sukienkę po raz drugi, choć protokół podobno tego nie toleruje. Dlaczego to takie ważne?

Pani prezydentowa założyła tę sukienkę dwa razy, w tym raz, nie będąc jeszcze w roli Pierwszej Damy. I to nie była oficjalna wizyta pary prezydenckiej ani spotkanie na szczycie. Zasada „raz w roku” dotyczy właśnie takich sytuacji: wtedy drugi raz można włożyć tę samą sukienkę dopiero po roku, ewentualnie inaczej ją wystylizować, na przykład z żakiem czy innymi dodatkami. Tutaj nie mieliśmy do czynienia z tym punktem protokołu dyplomatycznego, więc włożenie drugiego tej samej sukienki nie było żadnym odstępstwem. Był to wybór, który bardzo pochwalam i szanuję. Sama wiele razy wkładałam tę samą sukienkę, również na publiczne wystąpienia. Uważam, że to jest wyraz troski o środowisko: kupujemy mniej, kupujemy lepiej i nosimy częściej. Zresztą moje klientki to kobiety, które kochają klasykę i cenią szycie miarowe. Często dlatego, że nie mają standardowej sylwetki, którą da się łatwo ubrać w rozmiarach 36–38 z sieciówki. Muszą mieć ubrania szyte na miarę, bo nie znajdują ich w sklepach. Wybierają moją pracownię także dlatego, że z jednej strony jestem detalistką, bo kocham dopracowane szczegóły: obciągane guziki, odpowiedni kolor spodu, wyczyzelowanie. A z drugiej strony potrafię zobaczyć całą sylwetkę i zaproponować model, który ją podkreśli. Nawet jeśli sylwetka nie jest doskonała, a właściwie żadna nie jest, to ubranie ma wyrównywać proporcje. Mam wytrawne oko i znam kobiece ciało również w tym sensie, że ono się zmienia z wiekiem. Przechodzimy przez różne etapy życia. Pomaga mi w tym

wiedza psychologiczna, bo to, co dzieje się w procesie psychicznym, często widać w ciele. Umiejętność zauważać.

Jaką klientką była prezydentowa Agata Duda?

Wymagającą. Pracowałam dla niej przez 8 lat. Ale ja w ogóle pracuję dla wymagających kobiet, z wysokiego biznesu i dyplomacji. Ubieram osoby z Europy, europarlamentu, kobiety na najwyższych stanowiskach, prowadzące duże firmy. Moje usługi muszą być naprawdę na najwyższym poziomie. Kto raz doświadczy szycia miarowego, ten widzi różnicę: jakość szycia, tkaniny, podszewki dobranej do tkaniny, dobór materiału do fasonu, tak żeby podkreślić sylwetkę i atuty kobiecego ciała, a nie uwypuklić czegoś niestosownie. Zła tkanina do modelu sukienki czy garnituru potrafi zrujnować zamierzony efekt. I jest jeszcze rzecz, o której ludzie często nie myślą: obróbka tkaniny. Nie wystarczy wyciąć, zszyć i gotowe. Tu jest mnóstwo elementów dobrego rzemiosła, klasycznego krawiectwa: przygotowanie każdego wykończenia, połączenia, odpowiednie taśmy, nici, sprzęty, klejarki... To wszystko jest potrzebne choćby po to, żeby kobiecie ramię było dobrze wyprofilowane. Dlatego czasem osobom, które nie szły miarowo, wydaje się, że nie ma problemu. A to jest skomplikowany proces, żeby rzecz wyglądała dobrze przy pierwszym założeniu i żeby trzymała formę później, po czyszczeniu, po praniu, w codziennym użytkowaniu.

Pamięta pani pierwszy telefon z Pałacem Prezydenckim? Kto

do pani zadzwonił, co powiedział, jak pani zareagowała?

Oczywiście, że pamiętam. Ale nie mogę ujawniać nazwisk, obowiązuje mnie tajemnica służbowa. Ustaliłyśmy spotkanie z panią prezydentową i poproszono mnie o przygotowanie kilku outfitów w określonym rozmiarze, żeby mogła przymierzyć, zobaczyć, obejrzeć moje rzeczy. Byłam oszołomiona w radości i wzruszeniu, że mogę pracować dla pierwszej kobiety w Polsce. Panie w mojej pracowni też były ogromnie podekscytowane. Często w Polsce mieszkamy wszystko do jednego worka: politykę, ekonomię, sprawy społeczne i emocje. A ja abstrahuje od polityki, bo nie jestem polityczką i nie chcę się w tej kwestii wypowiadać. Natomiast zawodowo szyć dla Pierwszej Damy to była wielka nobilitacja. Dla marki, dla mnie jako właścicielki firmy, projektantki, osoby nadzorującej produkcję i prowadzącej biznes. I nie była to jednorazowa współpraca. Przez ponad osiem lat odpowiadałam za wizerunek Agaty Dudy, a w ostatnim czasie prezydentury, za współtworzenie wizerunku pary prezydenckiej. To była ogromna odpowiedzialność i poczucie, że robię coś ważnego: i dla pary prezydenckiej, i dla siebie, i dla mojego zespołu.

Jak to wyglądało technicznie? Dostała pani wymiary i szyla specjalnie stroje?

Zwykle jest tak, że każda kolekcja jest odszywana w określonym rozmiarze, czasem w kilku. Mam bazowy zestaw ubrań, modele, o których wiem, że będą się sprzedawać. Klientka może przyjść do mo-

Polska
Poniedziałek, 5.01.2026

jego butiku, wcześniej do atelier, przymierzyć i zobaczyć, jak leży. Pani prezydentowa mierzyła rzeczy już gotowe. Otrzymałam informację o wymiarach, więc przygotowałam odpowiednie rozmiary. Po przymiarkach ustaliliśmy pierwsze rzeczy do odszywania. Pamiętam pierwszy płaszcz, granatowo-złoty. I pamiętam komentarze. Z jednej strony: zachwyt, że pięknie skrojony, że pani prezydentowa świetnie wygląda. Z drugiej, ktoś napisał, że wygląda, jakby założyła na siebie kanapę. Poczułam potworny ból. Byłam wprost przerażona tą krytyką. I tej krytyki było bardzo dużo, nie tylko w odniesieniu do ubrań, ale w ogóle wobec pani prezydentowej. Ludzie byli zupełnie bez litości.

Mam wrażenie, że za kreację Agata Duda była chwalona.

Tak, ale krytykowano ją za to, że nie zabiera głosu w ważnych sprawach. Nie była to prawda. Pani prezydentowa zabierała głos, pisała o ważnych kwestiach u siebie na Instagramie. Gdyby ktoś się bardziej skupiałnie pochylał, zobaczyłby, że ona po prostu nie udzielała wywiadów, bo takie założenie przyjęła na początku kampanii. Zdecydowała, że nie będzie osobą z pierwszego rzędu. I była w tym konsekwentna do ostatniego dnia. Dlatego te nieliczne pochlebne opinie w mediach, o nienaganej elegancji pani prezydentowej, były dla mnie jak wiatr w skrzydła. Miałymy poczucie, że robimy coś dobrego, właściwego. Coś, co się podoba.

Jak wyglądał ten pierwszy raz pierwszej damy w pani pracowni? Urzędowy ton czy okazało się, że ona też jest zdenerwowana?

Szczerze powiem, że pamiętam przede wszystkim swoje wyobrażenia. Miałam wtedy pracownię na Wilczej, w pięknej kamienicy. Przechodziło się przez bramę, było podwórko, wokół odnowiona przestrzeń. Miałam w głowie scenę jak z amerykańskiego filmu: sztab ochrony, służby, ludzie wpadający biegiem, szpaler policjantów. A tymczasem pani prezydentowa przyszła po prostu z jedną panią z ochrony. Zresztą ochrona nie weszła do środka: wprowadziła panią prezydentową, poznałyśmy się, i wyszła, czekając na zewnątrz. I to też było dla mnie znaczące: moje oczekiwanie wielkiej formalności zupełnie się nie potwierdziło. Oczywiście, różnica była, bo ona była pierwszą damą. Ale to, co dominowało, to serdeczność. Pani prezydentowa była radosna, uśmiechnięta, ciepła wobec ludzi. Skracała oficjalny dystans, jakby miała świadomość, że osoba, która spotyka ją pierwszy raz, na pewno będzie zestresowana. Starła się rozładować napięcie. Ja byłam ogromnie poddenerwowana

i rozemocjonowana, ale to spotkanie odbyło się w bardzo bezpiecznej emocjonalnie atmosferze, serdecznej i miłej.

Kolor w dyplomacji nigdy nie jest przypadkowy. Dostawała pani wytyczne przed wizytami zagranicznymi?

To był standard: dostawałam wytyczne dotyczące konkretnych wyjazdów, szczególnie kiedy chodziło o Azję czy Daleki Wschód, gdzie znaczenie kolorów jest inne niż w Europie. Przygotowanie takiej delegacji wymagało większej uwagi: trzeba było dobrać kolorystykę, czasem przeszedźć wcześniejsze wizyty, sprawdzić, jak dana para prezydencka przyjmuje gości, jaki ma styl. To była duża praca zespołu w Kancelarii, natomiast ja dostawałam ramy i mogłam też proponować. Z racji znajomości rynku, również arabskiego i chińskiego, często sama podpowiadałam paletę. I tu decyzyje były szybkie, bo pani prezydentowa lubiła żywe kolory. Miała typ urody, który świetnie w nich wyglądał. Unikała czerni; kolor czarny pojawiał się właściwie tylko wtedy, kiedy wymagała tego sytuacja. Fasony natomiast były dość konserwatywne. Często pracowałyśmy na bazowej formie, którą przy kolejnych kolorach modyfikowałyśmy dodatkami, detalami, drobnymi zmianami. Dzięki temu styl pani prezydentowej był bardzo spójny, jednolity, przewidywalny. I to wybrzmiewało także w mediach zagranicznych, które śledziłam: opinie o wizytach pary prezydenckiej były bardzo pozytywne: elegancja, kultura osobista. Pamiętajmy, że to, jak para prezydencka jest postrzegana za granicą, łączy się też z tym, jak postrzegany jest kraj. To jest ze sobą powiązane. I mam poczucie, że to był dobry czas dyplomatycznej pracy.

Gdyby miała pani wskazać trzy stylizacje Agaty Dudy, które zrobiły największą dyplomatyczną, symboliczną robotę, to jakie to były momenty?

Pierwsza rzecz, która przychodzi mi do głowy, to biało-czarna sukienka koktajlowa z rozkłoszowanym dołem z 2019 roku, podczas wizyty w Białym Domu, kiedy prezydentem był Donald Trump. Są symboliczne zdjęcia przed wejściem, a potem z wieczornego koktajlu. I tu ciekawostka: Melania Trump nie przebrała się na kolację wieczorną, została w tym samym pudrowym, oversize'owym garniturze; moim zdaniem nie do końca to było trafne. Natomiast nasza prezydentowa włożyła czarną suknię z symetrycznym dekoltem i rękawem; to była druga stylizacja tego dnia. Wiem, że bardzo ją lubiła i później zakładała ją jeszcze na mniej formalne okazje. Drugi taki moment, to intronizacja cesarza Japonii; tam poja-



FOT. MATPRAS.

Dorota Goldpoint: Abstrahuję od polityki, bo nie jestem polityczką i nie chcę się w tej kwestii wypowiadać. Natomiast szyc dla Pierwszej Damy to była wielka nobilitacja

wiła się w bardzo pięknej, złoto-kremowej sukni. Z tego, co pamiętam, ta suknia później trafiła na licytację Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy i została wylicytowana za dużą kwotę. Trzeci watek to garsonki blisko ciała, często z baskinkami, które pani prezydentowa bardzo lubiła. To był sposób na zachowanie umiaru: miała świetną, kobiecą sylwetkę, ale zależało jej, żeby nie podkreślać bioder zbyt mocno, nie odsłaniać ich w sensie optycznym. Baskinka albo odpowiednio zbudowany zakiet robiły tu robotę: elegancko, formalnie, z klasą, i zgodnie z tym, co ona uważała za stosowne.

Co najczęściej trzeba tuszować u pierwszych dam? I jakimi trikami to się robi: długością, bielizną, szwem, konstrukcją? Protokół dość jasno określa, co należy zakrywać. Przede wszystkim ramiona i dekolty. Dekolt nie może być zbyt głęboki, nie powinien odsłaniać za dużo. Długość sukienek też

jest obszarem wiecznych dyskusji. Marta Nawrocka lubi długość przed kolano, mówi się, że Aleksandra Kwaśniewska nosiła podobnie, ale to były lata 90., wtedy w ogóle nosiło się krócej. Osobiście uważam, że kolano jest bardzo intymną częścią kobiecego ciała. Nawet jeśli protokół dopuszcza 10 cm nad kolano, rekomenduję długość za kolano. Kolano jest też miejscem, które często najszybciej zdradza wiek: skóra wokół kolana, „boczki”, stąd wiele kobiet po prostu nie lubi tego eksponować. Oczywiście, jeśli ktoś jest młody, ma piękne nogi i czuje się w tym dobrze, to jasne. Ale moja rekomendacja jest bardziej zachowawcza. Bywa też, że trzeba pracować nie tyle z kolaniem, co z łydką i kostką. Jeśli łydka jest mocniejsza, atletyczna, czasem lepiej pójść w dłuższą długość, nawet 7/8, czyli około 10-12 cm nad kostką. Ale jeśli kostka jest masywniejsza, czasem paradoksalnie lepiej ją trochę odsłonić, skrócić długość, żeby

optycznie „odciążyć” nogę. To są niuanse: obwód kostki, proporcje, linie. Biodra, pośladki, brzuch to są też niewralgiczne miejsca. Jedne kobiety mają brzuszki pod piersiami, inne poniżej pępka, inne mają płaski, ale są boczki czy mocniej zarysowane tylne biodra. Sylwetki jest mnóstwo. Podstawa to poznać własną: zobaczyć atuty i słabsze punkty, a potem te słabsze punkty umiejętnie zakrywać konstrukcją, linią, proporcją. Jest też prosta zasada, którą często powtarzam klientkom, że mamy pięć zwężeń w ciele: szyja, nadgarstki, talia, miejsce pod kolaniem i kostki. Jeśli odkryjemy trzy zwężenia, sylwetka optycznie wydaje się smuklejsza. Czyli: podkreślona talia, odsłonięte nadgarstki, choćby rękawem 3/4, zaznaczona szyja czy dekolt i już sylwetka robi się lżejsza. Jeśli chodzi o dekolty, to nie przepadam za serkami. Klientki je lubią, ale dla mnie są zbyt oczywiste. Wolę dekolt asymetryczny, z fantazją, albo pięknie

wymodelowany, trochę zachodzący na szyję, niżej wybrany jak serce, zwłaszcza w sukniach wieczorowych. Szukam rozwiązań, które nie są standardowe ani zbyt zwyczajne.

Zdarzył się pani kiedyś totalny kryzys tuż przed wyjściem: pękł suwak, plama, odpadł guzik? Jak wygląda taka akcja ratunkowa?

Na szczęście w przypadku pani prezydentowej - nigdy. Naprawdę pilnujemy detali: guziki muszą być odpowiednio wszyte, wszystko jest dobrze przygotowane. Wiemy, że takie rzeczy się zdarzają, więc zabezpieczamy je na etapie szycia. W życiu zawodowym miałam sytuacje awaryjne. Ostatnio, przed pokazem w Szanghaju, garderobiana uszkodziła suwak w gorsecie i musiałam go dosłownie wszywać na modelce, żeby mogła wyjść. Takie rzeczy potrafią się zdarzyć. Natomiast w dyplomacji zawsze działa jeszcze jedna zasada: outfit awaryjny. Każda pierwsza dama i w ogóle każda osoba jadąca na ważne wydarzenie, powinna mieć backup, bo może wydarzyć się wszystko. Wystarczy dotknąć jasnego ubrania dłonią, na której został make-up, i biała sukienka przestaje być biała. Dlatego zawsze warto mieć przygotowaną alternatywę.

W Polsce dużo mówi się o tym, że surowo oceniamy nasze pierwsze damy, a bardziej zachwycamy się tymi ze świata, jak Kate Middleton, czy Melania Trump. Co panią w tym boli jako projektantkę?

Bardzo mocno czuję się Polką. Nie mam w sobie potrzeby udawania cudzoziemki. A wie pani, czasem ktoś pomieszka kilka lat za granicą i nagle mówi łamanym polskim. Takich numerów nie robię. Jestem dumna z tego, że moje dzieci są wykształcone w Polsce, i że ja sama jestem stąd. A jednocześnie wiem, jaką mamy narodową przywarę: nie umiemy się wspierać. Jest taki dowcip, że w piekle przy kotle Polaków nie ma strażnika, bo my sami ściągamy się w dół. I ja to widzę bardzo wyraźnie, też z doświadczenia pracy za granicą: jak często sobie nie kibicujemy, nie kupujemy własnych marek, nie doceniamy swoich. Gwiazdy chętnie idą na pokazy zagranicznych marek i je promują, a polskie nazwiska nie zawsze dostają to, na co zasługują. Mam to szczęście, że do mnie klientki wracają. To są zwykle wieloletnie relacje. Wiem więc, że moja praca jest doceniana w sposób, który pozwala mi ten biznes kontynuować. Ale jako zjawisko społeczne, i to dotyczy wielu branż, nie tylko mody: my, Polacy, naprawdę nie umiemy się wspierać.

Jakie są trzy największe tajemnice garderoby pierwszych

dam, o których w ogóle nie mamy pojęcia? Czy wszystko jest szyte na miarę? Czy pierwsza dama może chodzić w ubraniach z sieciówek?

Oczywiście, że może. Pamiętajmy, że obowiązków pierwszej damy jest mnóstwo i to nie są wyłącznie wizyty oficjalne. Jest też ogrom spotkań codziennych: z młodzieżą, z kobietami, z weteranami, z różnymi środowiskami. Pani prezydentowa miała wiele spotkań w Pałacu przy zamkniętych drzwiach, bez fotoreporterów i bez medialnych relacji. Na takie nieoficjalne sytuacje jak najbardziej korzysta się z ubrań ze zwykłych sklepów. Nie będę mówiła, z jakich konkretnie, ale to nie jest wyłącznie garderoba szyta na miarę. Jest też określony budżet i określone zasady w Kancelarii, których trzeba przestrzegać. Nie ma miejsca na ekstrawagancję. Zawsze szuka się kompromisu: co musi być uszyte, bo wymaga tego ranga wydarzenia i protokołu, a co można po prostu kupić i nosić na co dzień.

Jeśli opiekowała się pani wizerunkiem i pani prezydentowej, i pana prezydenta, to czy to było ważne, żeby byli ubrani kompatybilnie? Co miało ze sobą współgrać?

Dba się o to, żeby para prezydencka wyglądała spójnie. Są zestawienia, których nie robimy; na przykład czerwony krawat i amarantowa suknia mogą się gryźć, nawet jeśli teoretycznie to pokrewne barwy. Wizerunek pary ma ze sobą współbrzmieć, a nie walczyć o uwagę. W praktyce nie było wielkich trudności, bo pan prezydent wybierał bardzo klasyczne zestawienia: dobrze skrojone garnitury, koszule, stonowane krawaty. A pani prezydentowa, choć lubiła kolory, też wybierała je w sposób nie-nachalny.

A kiedy para prezydencka wyjeżdża z wizytą, czy wie, jak będzie ubrana gospodyni? Czy dostaje wytyczne, żeby się dopasować?

To działa raczej w drugą stronę. Kiedy nasza para prezydencka wizytuje dany kraj, pojawia się pytanie: w jakiej kreacji wystąpi nasza pierwsza dama. Dzieje się to po to, żeby gospodyni mogła się dostosować i żeby nie było sytuacji, że obie panie wystąpią w tym samym kolorze. Natomiast wytyczne kolorystyczne dostaje się najczęściej przy bardzo ważnych uroczystościach: ślubach, pogrzebach, koronacjach. Pałace i organizatorzy zwykle określają wtedy kolorystykę, którą trzeba wykluczyć albo właśnie tę, którą należy wybrać.

Jak to się stało, że z psychoanalityczki stała się pani projektantką? W którym momencie to panią pociągnęło?

Jestem z pokolenia, które zaczynało studia po 1989 roku. W mojej rodzinie nie promowano zawodów artystycznych, ale ja od dziecka kochałam szycie. Pierwsze spodnie uszyłam w wieku siedmiu lat. Byłam samoukiem; wtedy w wielu domach stała maszyna do szycia. Moja mama szyła różne rzeczy, choćby obrusy. Korzystałam z dostępu do maszyny i z własnej wyobraźni. W tym roku uświadomiłam sobie, że kończę 57 lat i że ja szyję od pięćdziesięciu. To pasja. Przez lata bardzo często sama projektowałam i szyłam sobie rzeczy, bo mój mąż prowadził międzynarodowy biznes, dużo wyjeżdżaliśmy i potrzebowałam eleganckich ubrań. Do dwudziestego roku życia szyła sama, a potem znalazłam wspaniałą panią Basię, która mnie wszytkiego nauczyła. Ona szyła, ja projektowałam. I w pewnym momencie człowiek wie, czy ta droga zawodowa, którą idzie, jest tą jedyną na drugą część życia. U mnie tak właśnie było. Intellectualnie i społecznie spełniałam się w branży, w której się wykształciłam, ale czułam, że moja dusza jest kreatywna i że nie mogę do końca spełnić się artystycznie. Podjęłam trudną decyzję i jestem bardzo szczęśliwa, że ją podjęłam. To było ponad dziesięć lat temu.

Co powiedziała pani kobiecie, która nie jest pierwszą damą, ale chciałaby poczuć się dobrze w swoim ciele i stroju?

Zawsze zachęcam do tego, żeby być w zgodzie ze sobą. Jeśli ktoś czuje się kobieco i lubi kobiece ubrania, niech wybierze sukienkę albo spódnicę z elegancką bluzką i usiądzie tak do wigilijnego stołu. Wiem, jak wygląda grudzień: gotowanie, karp, sernik, makowiec, przygotowania, dzieci, mąż, goście. Właśnie dlatego warto zrobić wszystko odrobinę wcześniej, żeby wygospodarować te dwie-trzy godziny dla siebie. Kąpiel, maseczka, wejść w dobry nastrój. To brzmi jak luksus, ale naprawdę jest kwestią tego, co uznajemy za ważne. Pamiętajmy: rodzina będzie szczęśliwsza, jeśli my będziemy szczęśliwe. Jeśli będziemy w zgodzie ze sobą, będziemy się dobrze czuły przy stole, to nasz nastrój przeli się innym. A w szafie zawsze coś się znajdzie. To jest kwestia kreatywności. Jeśli ktoś woli spodnie, może je wybrać, do tego ładna bluzka, choćby z żabotem, żeby było odświętnie. Święta to szczególne dni w roku. Ubierzmy się inaczej, nie siedźmy w dresach. Założmy obcasy. Zawsze to powtarzam. Nawet moim dzieciom, kiedy były małe, ubierałam w koszule, bo uważam, że strojem wyrażamy szacunek do miejsca, sytuacji i ludzi, z którymi się spotykamy. Postarajmy się, żeby te dni były wyjątkowe.

Był to krok do budowy ekonomicznych zrębów Polski Ludowej. Nacjonalizacja nie była dla nikogo zaskoczeniem, była konsekwencją zapowiedzi z manifestu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego z 22 lipca 1944 r.

Państwo zabiera

Przejęcie przez państwo przedsiębiorstw odbywa się - stanowił art. 1 ustawy - „dla planowego odbudowania gospodarki narodowej, zapewnienia Państwu suwerenności gospodarczej i podniesienia ogólnego dobrobytu”.

Art 3. wymieniał firmy, które zostaną znacjonalizowane za odszkodowaniem (zatrudniające więcej niż 50 robotników na jedną zmianę). Były to m.in. przedsiębiorstwa górnicze, hutnicze, naftowe i gazowe; związane z energetyką; koksownie; wodociągowe; cukrownie i rafinerie cukru; gorzelnie i browary; młyny. Do tego przedsiębiorstwa włókiennicze, poligraficzne i tłuszczowe. Tzw. nacjonalizacja bez odszkodowań dotyczyła przedsiębiorstw niemieckich, należących do obywateli Wolnego Miasta Gdańska oraz - jak to określono - „osób, które zbiegły do nieprzyjaciela”.

Nacjonalizacja dotyczyła majątku nieruchomego i ruchomego oraz wszelkich praw (w tym licencji, znaków towarowych itp.). W pierwszej fazie, do 1 października 1948 r. upaństwowiono przeszło 35 tys. przedsiębiorstw

Co z wagonami?

Choć spod działania tego przepisu wyłączono niektóre rodzaje przedsiębiorstw (np. przedsiębiorstwa robót budowlanych oraz instalacyjnych bez względu na ilość pracowników), w praktyce nacjonalizowano wszystko. Dekret Rady Ministrów z mocą ustawy z dnia 20 grudnia 1946 r. o zmianie ustawy o przejęciu na własność Państwa podstawowych gałęzi gospodarki narodowej, dawał podstawę do nacjonalizacji banków, sklepów, aptek i oraz kolektywizacji rolnictwa.

Ciekawostką jest, że spod ustawy wyłączono przedsiębiorstwo komunikacyjne stanowiące własność „Międzynarodowego Towarzystwa Wagonów Sypialnych i Wielkich Ekspresów Europejskich” belgijsko-francuskiej firmy kolejowej Compagnie Internationale des Wagons-Lits. Specjalnie po to Rada Ministrów wydała uchwałę w dniu 27 marca 1947 r.

Już później, w latach 1948-1971 Polska Ludowa zawarła tzw. umowy indemnizacyjne z 14 krajami. Na mocy tych układów PRL wypłacała odszkodowania za mienie pozostawione w Polsce i znacjonalizowane. Np. do 1980 r. rządy komunistyczne PRL-u przekazały 40 mln dolarów rządowi USA na zaspokojenie

JAK W POWOJENNEJ POLSCE KROK PO KROKU WPROWADZANO SOCJALIZM

3 stycznia 1946 r. Krajowa Rada Narodowa, pod naciskiem Polskiej Partii Robotniczej, uchwaliła ustawę o nacjonalizacji, czyli o przejęciu na własność Państwa podstawowych gałęzi gospodarki narodowej

Mariusz Grabowski



Nacjonalizacja dotyczyła majątku nieruchomego i ruchomego oraz wszelkich praw (w tym licencji, znaków towarowych itp.)

nie roszczeń obywateli i firm amerykańskich.

Towarzysze żądają!

W styczniu 1946 r. na blisko 300 posłów do KRN za ustawą nacjonalizacyjną była większość, w tym przedstawiciele opozycji z PSL i Stronnictwa pracy. Co więcej, w swoich programach też mieli nacjonalizację, choć w znacznie ograniczonej formie.

Mało który z posłów opozycji nie zgadzał się z tezami referatu ministra przemysłu z IX sesji KRN, która odbyła się w grudniu 1945 r.: „Można prowadzić organizm państwowy w określonym kierunku, gdy ma się w ręku ster tego organizmu. A ster - to podstawowe gałęzie gospodarki narodowej. Bez planu nie ma odbudowy”.

Co ciekawe, posłowie debatujący wtedy na założeniach przyszłej ustawy „o przejęciu na własność Państwa podstawo-

wych gałęzi gospodarki narodowej” (odczytano rezolucję z wiecu pracowników przemysłu Łodzi, w którym żądali oni „upaństwowienia przemysłu, (które) jest po reformie rolnej dalszym podstawowym osiągnięciem demokracji polskiej na drodze do odbudowy Polski Ludowej bez obszarników i kapitalistów”), na tej samej sesji proponowali jednocześnie dość fantastyczną ustawę „o zakładaniu nowych przedsiębiorstw i popieraniu prywatnej inicjatywy”.

Co na to PSL?

Można powiedzieć, że idea nacjonalizacji był obecna w programach wszystkich sił politycznych ówczesnej Polski, nie tylko tych o profilu komunistycznym czy socjalistycznym.

W programie Polskiego Stronnictwa Ludowego, największej partii opozycyjnej w KRN (jeszcze w grudniu 1946 r., na 444 po-

słów, PSL miało ich 55), uchwalonym w styczniu 1946 r. podczas kongresu, popierano przeprowadzenie reformy rolnej, wprowadzenie „gospodarki wielosektorowej” (z istnieniem szerokiego sektora własności społecznej i spółdzielczej, głównie w handlu i drobnym przemysle), ale też dopuszczano istnienie sektora państwowego i prywatnego.

Reforma ekonomiczna miałyby w tej koncepcji obejmować nacjonalizację kluczowych gałęzi przemysłu, choć w stopniu mniejszym niż zakładała koncepcja komunistów.

Apologia z lat 60.

Janusz Wojciech Gołębiowski w wydanym w 1965 r. tomie „Nacjonalizacja przemysłu w Polsce” to właśnie z PSL czynił głównego wroga socjalistycznych reform. „Przyjęta przez PSL taktyka walki - pisał - polegała nie

Polska
Poniedziałek, 5.01.2026

na bezpośrednim podważeniu celowości samej reformy, lecz na przedstawieniu w tak negatywny sposób przyszłych konsekwencji nacjonalizacji, ażeby wzbudzić w społeczeństwie wątpliwość co do tego, czy państwo winno istotnie przejść na własność wielki i średni przemysł.

»Głównym celem przebudowy społecznej - stwierdzał program mikołajczykowskiego stronnictwa - jest zdobycie dla warstw ludowych wyższego poziomu dobrobytu przy swobodnym, wszechstronnym rozwoju kulturalnym. Monopolistyczna gospodarka państwowa może zmuszać robotników do godzenia się z niską stopą życiową i zagrażać im nowym przymusem i naciskiem ze strony państwowej administracji gospodarczej« (...).

Głównym celem przebudowy społecznej - stwierdzał program mikołajczykowskiego stronnictwa - jest zdobycie dla warstw ludowych wyższego poziomu dobrobytu przy swobodnym, wszechstronnym rozwoju kulturalnym. Monopolistyczna gospodarka państwowa może zmuszać robotników do godzenia się z niską stopą życiową i zagrażać im nowym przymusem i naciskiem ze strony państwowej administracji gospodarczej”.

Jak za Sanacji?

W ramach wojny propagandowej komuniści i socjaliści głosili, że PSL celowo utożsamiało nacjonalizację przemysłu w warunkach istnienia władzy ludowodemokratycznej z tworzonymi w Polsce międzywojennej etatystycznymi przedsiębiorstwami państwowymi, które ze względu na ich nierentowność i biurokratyczne formy organizacji były w społeczeństwie wyjątkowo niepopularne.

„Jesteśmy za upaństwowieniem kluczowych przemysłów, mających podstawowe znaczenie dla gospodarstwa narodowego, takich np., jak kopalnie węgla, huty żelazne, pewne fabryki chemiczne, przemysł zbrojeniowy, elektrownie i koleje. Ale upaństwowienie tych gałęzi to jeszcze nie etatyzm - odpowiadała »Gazeta Ludowa«. Nie po to pozbyliśmy się szlachetczyzny i jej burżuazyjnego cienia, aby stworzyć klasę urzędniczą” - dopowiadał w jednym z artykułów „Gazety Ludowej” Tadeusz Garczyński, adwokat, publicysta i działacz sportowy.

Komuniści zacierają ręce

Oficjalne stanowisko PPR odnośnie do ustawy o nacjonalizacji przemysłu sprecyzowane zostało na I Zjeździe PPR, który się odbył w dniach 6-13 grudnia 1945 r.: „Nasza partia uważa - stwierdzał przedłożony zjazdowi referat pt. »Aktualne zagadnienia i perspektywy gospodarcze demokratycznej Polski« - że przyszedł teraz czas, aby po zrealizowaniu zasad Manifestu lipcowego pójść naprzód i przejść

uroczystym aktem prawnym na własność narodu wielki i średni przemysł w Polsce (...). Nasi ministrowie w rządzie, nasi posłowie w Krajowej Radzie Narodowej, nasi towarzysze w całym kraju, cała nasza partia, wspólnie z Polską Partią Socjalistyczną, wysunie wkrótce dekret o unarodowieniu wielkiego i średniego przemysłu”.

Stanowisko PPS wobec ustawy określała z kolei uchwała Rady Naczelnej z dnia 4 listopada 1945 r. Stwierdzała ona m.in., że „uspołecznienie w drodze prawnej podstawowych gałęzi produkcji, wymiany, ubezpieczeń oraz bankowości powinno być dokonane bez dalszej zwłoki”.

Dokonało się

Jak ustawę KRN o nacjonalizacji przyjęli Polacy. Najogólniej mówić obojętnie. Ważniejsze były trudny codzienny życia w zrujnowanym kraju, nędra i wyjątkowo mroźna zima. Słusznie zauważał Gołębiowski, że „żadna z form bezpośredniej i otwartej walki przeciwko nacjonalizacji przemysłu w ówczesnych warunkach politycznych nie dawała reakcji szans powodzenia”.

I dodaje: „politycy reakcyjni przewidywali, że oficjalne wypowiedzenie się przeciwko upaństwowieniu fabryk mogłoby zwiększyć jedynie obawy szerokich mas przed utratą zdobytych już pozycji w przemyśle”.

Co więcej, wszelkie próby hipotetycznej reperywizacji fabryk natrafiały ponadto na obiektywne przeszkody, wynikłe z dokonanych podczas wojny i po wyzwoleniu kraju zmian w strukturze przemysłu. „Trzeba sobie zdać sprawę z tego, że przemysł nasz jest już w większości upaństwowiony” - stwierdzała Delegatura Krajowa tzw. rządu emigracyjnego w połowie 1945 r.

Trzeba było...

Deputowany do KRN Aleksander Zawadzki, w 1946 r. członek Biura Politycznego KC PPR i późniejszy Przewodniczący Rady Państwa, obranie radykalnego socjalistycznego kursu przez Polskę uzasadniał tak: „Mielśmy Zagłębie i Śląsk, mogliśmy mieć dosyć węgla, stali i żelaza, a nie mieliśmy armat, nie mieliśmy czołgów, nie mieliśmy samolotów, gdy nadszedł tragiczny rok 1939. Bo ciężki przemysł Zagłębia, Śląska i innych ośrodków służył interesom prywatnego, rodzimego i zagranicznego kapitału, a w tym kapitale wielki udział mieli Niemcy”.

Choć z perspektywy czasu można stwierdzić, że zarówno nacjonalizacja, jak i reforma rolna zostały przeprowadzone z pogwałceniem prawa własności, a nowe władze wykorzystały te reformy społeczne jako na rzędzie eliminacji „grup posiadających”, to na eliminację ich skutków trzeba było czekać blisko pół wieku.

Żałoba i polityczna demonstracja

7 stycznia 1939 r. odbył się w Warszawie pogrzeb Romana Dmowskiego. Było to największe polityczne zgromadzenie w II Rzeczypospolitej

Mariusz Grabowski

Ideologowi narodowej demokracji towarzyszyło w ostatniej drodze setki tysięcy ludzi. Spoczął na cmentarzu bródnowskim w grobie rodzinnym, nie w Alei Zasłużonych na Powązkach. Na pochówek w katedrze poznańskiej nie zgodził się ówczesny prymas August Hlond.

„Kłonią się sztandary”

Niemal każde ugrupowanie polityczne wysłało swoje przedstawicielstwo, aby złożyć hołd zmarłemu. Zabrakło jedynie - co charakterystyczne - reprezentacji władzy sanacyjnej. Stawiło się 1000 pocztów sztandarowych i ponad 300 delegacji z wieńcami. Dla członków Stronnictwa Narodowego ogłoszono sześciotygodniową żałobę.

„Kurjer Warszawski” z 7 stycznia 1939 r. donosił: „Na Rynku Starego Miasta ustawiły się szerokie kolumny Stronnictwa Narodowego. Do katedry wmaszerowało pół tysiąca pocztów sztandarowych. (...) Boczne nawy zapelniać się poczynają setkami delegacji ze wszystkich stron Polski. (...) Nabożeństwo transmitowane jest głośnikami na Rynek Starego Miasta i ulicy Świętojańskiej. W śniegu przyklekły tysiączne rzesze, kłonią się sztandary. (...) Dopiero o godzinie 13.00 trumnę na ramionach wyniesiono z kościoła archikatedralnego i tłumny, wielotysięczny orszak żałobny wyruszył ku cmentarzowi”.

Na ulicach towarzyszyły mu klepsydry: „Roman Dmowski duszy polskiej Budziciel; Idei narodowej Twórca i Bojownik nieugięty, nieustraszonej Pokolei Wychowawca i Przewodnik; Polski Narodowej Syn ukochany”.

Z Łomży na Stare Miasto

Największy rywal polityczny Józefa Piłsudskiego zmarł w nocy z 1 na 2 stycznia 1939 r. o godz. 1.05 w Drozdowie, niedaleko Łomży, w majątku Mieczysława Niklewicza. Tam od 28 grudnia 1938 r. przechodził bardzo ciężkie zapalenie płuc.

We wtorek 3 stycznia w drozdowskim dworze została odprawiona przez ks. Piotra Krysiaka msza św. Po zdjęciu pośmiertnej maski 4 stycznia trumna z ciałem Dmowskiego została prze-

transportowana do Łomży - za trumną, ułożoną na chłopskich saniach, szła rodzina Niklewiczów i władze naczelne Stronnictwa Narodowego. W łomżyńskiej katedrze odprawiono nabożeństwo żałobne. Odprawił je bp Stanisław Łukomski. Z Łomży pociąg, z trumną w wagonie-kaplicy, ruszył do Warszawy. Na każdej stacji czekały nań tłumy ludzi i poczty sztandarowe spowite kirem.

5 stycznia uroczystości kontynuowano w archikatedrze warszawskiej, gdzie przez kilkanaście godzin wystawienia trumny z ciałem hołd zmarłemu oddało ok. 150 tys. osób. W tej świątyni 7 stycznia rano została odprawiona msza św. pogrzebowa przez bpa Antoniego Szlagowskiego. Homilię wygłosił ks. prał. Marceli Nowakowski, który mówił o zmarłym i jego zasługach dla kraju: „po jego śmierci potomni będą usiłowali niczego spuścizny nie zniszczyć, nic przeinaczyć, bo nie tylko jego słowa, ale i życie było wierną służbą wszechstronną i wytrwałą nie tylko dla obecnego, ale i dla przyszłych pokoleń”.

Wcześniej członkowie młodzieżówek narodowych przynieśli na swoich barkach trumnę z ciałem polskiego męża stanu. Ustawiono ją na wysokim katafalku i okryto sztandarem Stronnictwa Narodowego z Łomży. Wokół tego miejsca złożono wieńce i rozłożono krzesła dla delegacji. Na uroczystość przybyli m. in. ambasador Japonii i przedstawiciel Hiszpanii.

Dmowski i religia

W późniejszej sanacyjnej propagandzie ów wzmozżony udział duchowieństwa katolickiego w obrządkach pogrzebowych niejednokrotnie nazywano „obłudą”. Podkreślano, że Roman Dmowski przez całe życie pozostawał obojętny religijnie i określał się jako deista. Dopiero na krótko przed śmiercią nawrócił się i postanowił powrócić na łono Kościoła katolickiego.

Z kolei środowiska narodowe akcentowały głęboką religijność Dmowskiego. Przypominano, że 23 grudnia 1937 r. Dmowski odbył spowiedź generalną wobec ks. Marceliego Nowakowskiego, proboszcza parafii Naj-



Pogrzeb Romana Dmowskiego stał się jednym z najważniejszych momentów w historii II Rzeczypospolitej, podobnie jak wcześniej pogrzeb Józefa Piłsudskiego

świętszego Zbawiciela w Warszawie, a następnie przyjął Komunię Świętą. „Warszawski Dziennik Narodowy” z 3 stycznia 1939 r., opisującego jego ostatnie chwile podkreślał, że na łóżu śmierci 30 grudnia 1938 r. odwiedzili go jego przyjaciel bp Stanisław Łukomski, jego kapelan ks. Henryk Kulbat, a także ks. prałat Krysiak z Łomży, który udzielił mu sakramentu namaszczenia chorych.

Faktem jest, że u schyłku swego życia Dmowski zmienił poglądy, tak się często sądzi. Odrzucił idee darwinizmu, etyczny dualizm, przestał mówić o Kościele jako instytucji podporządkowanej woli narodu. Wreszcie, na rok przed śmiercią, nawrócił się i przyjął sakramenty.

Urny i symbole

W zimowy dzień 7 stycznia już od wczesnego ranka do Warszawy przyjeżdżały pociągi wypełnione ludźmi. Pierwszy nadjechał z Opoczna już o godzinie 4.55, znajdowało się w nim kilkaset osób. W ciągu następnych kilku godzin przybywały kolejne składy - w sumie do godz. 9 kilkanaście. Wśród pasażerów

przybyłych na uroczystość znajdowali się m.in. górnicy i członkowie Związku Hallerczyków.

Z okazji pogrzebu współtwórcy narodowej demokracji do Warszawy na uroczystości przywieziono wiele symbolicznych przedmiotów. Członkowie Stronnictwa Narodowego przywieźli z Poznania do Warszawy m.in. urnę z ziemią z Chłudowa, gdzie Roman Dmowski miał swoją posiadłość. Z kolei delegacja z Gdańska przywiozła urnę z wodą z Bałtyku i ziemią nadmorską, aby wstawić ją do grobu zmarłego.

Wielokilometrowy kondukt ze Starego Miasta na ul. św. Wincentego na Targówku wyglądał niezwykle malowniczo. Po kolumnie wieńców maszerowały poczty sztandarowe, a przed nimi grupa osób niosła wielki miecz Chrobrego, który otwierał tę część pochodu. Poza nimi maszerowali też chłopcy w sukmanach łowickich, opoczyńskich i sieradzkich, a swoją reprezentację mieli także górale, krakowiacy i Ślązacy.

W pochodzie - relacjonował później „Kurjer Warszawski” - dostrzec można było także

sztandar Powstańców Wielkopolskich, Związku Dowobczyków, Młodzieży Wszechpolskiej, Bratniej Pomocy Uniwersytetu Warszawskiego, Politechniki, Szkoły Dziennikarskiej, Akademickiego Komitetu Ślubowań Jasnogórskich, różnego rodzaju cechów, zorganizowanych rolników i organizacji religijnych oraz społecznych.

Na samym początku właściwego konduktu żałobnego znajdował się prosty czarny krzyż, a przy katafalku asystowała gwardia honorowa. Oprócz duchownych w pierwszych szeregach szedł również były Prezydent RP Stanisław Wojciechowski, a całej uroczystości przypatrywał się wielotysięczny tłum, który od zbierał się okolicy mostu Kierbedzia i ul. Zygmuntowskiej w Warszawie.

Cała trasa przemarszu konduktu była udekorowana flagami państwowymi, które opuszczono do połowy masztu. Dodatkowo wielu ludzi wieszało na swoich domach czarne flagi.

Werble na cmentarzu

Na cmentarzu Bródnowskim o godz. 15.30 rozległ się dźwięk

werbli. Następnie przez otwartą bramę wniesiono trumnę zmarłego, która została położona na katafalku. Po jego prawej stronie ustawiono czarny krzyż, a po lewej stanęła straż z mieczem Chrobrego. Do miejsca spoczynku zbliżył się Zarząd Stronnictwa Narodowego na czele z prezesem Kazimierzem Kowalskim i dr. Tadeuszem Bieleckim.

Na zakończenie uroczystości kilkanaście tysięcy uczestników wydarzenia przystąpiło do modlitwy, po czym bp Karol Niemira pobłogosławił trumnę i udzielił błogosławieństwa wszystkim na cmentarzu. Tłum odśpiewał „Boże coś Polskę”. Żałobna manifestacja zakończyła się późnym wieczorem.

Uroczystości z okazji śmierci i pogrzebu Romana Dmowskiego odbyły się nie tylko w Warszawie. W Poznaniu już na długo przed godz. 10 tłum mieszkańców spieszył na nabożeństwo żałobne. W kaliskim kościele oo. Franciszkanów przy ul. Sukienniczej odbyło się nabożeństwo żałobne za spokój duszy zmarłego.

„Służył Ojczyźnie”

Pogrzeb Romana Dmowskiego stał się jednym z najważniejszych momentów w historii II Rzeczypospolitej, a doniosłe wydarzenie przypominało ówczesnym dorobek polityczny tego wybitnego narodowego polityka. Po pogrzebie Dmowskiego ukazał się w „L'Osservatore Romano” artykuł potwierdzający, że „objaw spontanicznego nawrotu młodzieży polskiej do wiary katolickiej jest w znacznej mierze jego zasługą”. Stolica Apostolska uważała, że to m.in. dzięki Dmowskiemu dokonana się w Polsce „wielka ewolucja moralna i religijna”.

W 1999 r., w 60. rocznicę śmierci Romana Dmowskiego, Sejm RP przyjął uchwałę, w której wyraził uznanie dla wybitnego Polaka. „Sejm Rzeczypospolitej Polskiej wyraża uznanie dla walki i pracy wielkiego męża stanu na rzecz od budowania niepodległości państwa polskiego i stwierdza, że dobrze przysłużył się Ojczyźnie”.

Łukasz Konstanty
redakcja@polskapress.pl

Mistrzostwa świata i Europy, zawody Pucharu Świata, a przede wszystkim zimowe igrzyska olimpijskie i piłkarski mundial - w 2026 roku czeka nas mnóstwo sportowych emocji. W jakich terminach w przyszłym roku zaplanowano najważniejsze imprezy w poszczególnych dyscyplinach?

STYCZEŃ

Rok rozpocznie się szeregiem imprez, których stawką będzie tytuł mistrza Europy. O to miano powalczą m.in. piłkarze ręczni - zmagania, które odbędą się w Danii, Norwegii i Szwecji, zaplanowano w dniach 15 stycznia - 1 lutego, a rywalami Biało-Czerwonych w pierwszej fazie będą Węgrzy (16.01), Islandczycy (18.01) i Włosi (20.01).

Jedną z najważniejszych imprez odbędzie się w naszym kraju - to mistrzostwa Europy w łyżwiarstwie szybkim, których gospodarzem będzie Tomaszów Mazowiecki (9-11.01). W pierwszym miesiącu roku odbędą się także ME w łyżwiarstwie figurowym (13-18.01, Sheffield), short tracku (16-18.01, Tilburg) i futsalu (z udziałem Biało-Czerwonych, 21.01-7.02, Lublana, Kowno i Ryga), a także HME w hokeju na trawie kobiet (15-18.01, Praga) i mężczyzn (8-11.01, Heidelberg).

Do wymienionych imprez dodać koniecznie należy wielkoszlemowy tenisowy turniej Australian Open (18.01-1.02), Turniej Czterech Skoczni (trzy konkursy odbędą się na początku stycznia), PŚ w skokach narciarskich w Zakopanem (10-11.01) oraz MŚ w lotach narciarskich w Oberstdorfie (22-25.01). Miesiąc zapowiada się więc niezwykle interesująco.

LUTY

Jeszcze więcej emocji dostarczy nam luty i impreza czterolecia, a więc zimowe igrzyska olimpijskie. Włosi najlepszych gościć będą w dniach 6-22 lutego, a emocji dostarczą m.in. łyżwiarze, alpejczycy, skoczkowie narciarscy, biathloniści i snowboardziści. Liczymy, że będą to kolejne ZIO, w których Biało-Czerwoni wrócą do domu z dorobkiem medalowym.

Ci, którzy wolą inne dyscypliny sportowe, także znajdą coś dla siebie. 19 i 26 lutego to dni, w których o awans do kolejnej rundy Ligi Konferencji powalczą Lech Poznań i Jagiellonia Białystok. W lutym zaplanowano także HME w łucznictwie (16-20.02, Płowdiw), halowy lekkoatletyczny mityng Orlen Copernicus Cup w Toruniu (22.02), strzeleckie ME na 10 m (27.02-8.03, Erywań) oraz zawody Pucharu Świata w snow-

Kalendarz 2026 Najważniejsze daty, które powinien znać polski kibic

Mnóstwo wielkich imprez, także w naszym kraju

boardzie alpejskim w Krynicy-Zdroju (28.02-1.03).

MARZEC

Trzeci miesiąc roku upłynie nam przede wszystkim pod kątem wyłonienia zdobywców Kryształowych Kul w zimowych dyscyplinach sportowych. Nie zabraknie jednak także imprez mistrzowskich. Heerenveen ugości najlepszych panczenistów (MŚ w wieloboju i sprintach w dniach 5-8.03), w Montrealu (13-15.03) odbędą się mistrzostwa świata w short tracku, w Pradze (24-29.03) w łyżwiarstwie figurowym, a w Ogden MŚ w curlingu (27.03-4.04).

Nie wolno zapomnieć o organizowanych w Toruniu halowych mistrzostwach świata w lekkiej atletyce, które zaplanowano w dniach 20-22 marca. Dla nas niezwykle istotne będą jeszcze dwie daty - 26 i 31 marca. Pierwsza z nich to termin meczu barażowego z Albanią, druga to finał barażu, których stawką będzie awans na piłkarski mundial, a w których wierzymy, że zagrają Biało-Czerwoni.

KWIECIEŃ

W kwietniu królować będą siła i precyzja. Jeśli chodzi o pierwszą z wymienionych - mowa o mistrzostwach Europy w judo (16-19.04, Tbilisi), podnoszeniu ciężarów (19-26.04, Batumi) oraz zapasach (20-26.04, Tirana). Druga niezbędna jest do zanotowania sukcesów w Drużynowych Mistrzostwach Świata w tenisie stołowym (29.04-10.05, Londyn), a także w ME w strzelectwie na 300 m (30.04-6.05, Osijek).

Czwarty miesiąc roku to także hokejowa rywalizacja naszych pań, które zagrają w Bled w terminie 13-19.04 (Dywizja 2A).

MAJ

Maj tradycyjnie będzie miesiącem najważniejszych rozstrzygnięć piłkarskich. Poznamy nie tylko mistrzów większości europejskich krajów, ale przede wszystkim triumfatorów europejskich rozgrywek - Ligi Mistrzów (30.05, Budapeszt), Ligi



W marcu istotne będą dwie, jak zakładamy, daty: 26. i 31. dzień miesiąca. To terminy barażu o piłkarski mundial...

Europy (20.05, Sztambuł) i Ligi Konferencji (27.05).

Oprócz piłki nożnej dominować będzie także hokej. Najpierw, w dniach 2-8.05 w Sosnowcu Biało-Czerwoni w dywizji IA powalczą o awans do grona szesnastu najlepszych ekip świata, a następnie, w terminie 15-31.05 w Szwajcarii odbędą się zmagania elity.

Ważnymi zawodami zaplanowanymi w piątym miesiącu roku są także tenisowy French Open (24.05-7.06) oraz rozstrzygnięcia w europejskich rozgrywkach w wielu dyscyplinach sportowych - w tym Final Four Ligi Mistrzów siatkarzy (16-17.05).

Oprócz wymienionych w maju czeka nas także finał piłkarskiego Pucharu Polski (2.05, Warszawa), inauguracja Grand Prix na żużlu (2.05, Landshut), strzeleckie ME na 25 i 50 m (6-21.05, Osijek), kolarskie wyścigi Giro d'Italia (9.05-1.06) i Orlen Wyścig Narodów (14-18.05) oraz ME w łucznictwie (18-24.05, Antalya).

CZERWIEC

Czerwiec rozpocznie się od ważnej sportowej imprezy, której gospodarzem będzie Warszawa. Mowa o mistrzo-

stwach świata w koszykówce 3x3, które są zaplanowane w terminie 1-7.06. Innymi mistrzowskimi imprezami będą ME w kajakarstwie (11-14.06, Montemor-o-Velho), ME w szermierce (16-22.06, Tallin).

Najważniejsza impreza, oby z udziałem Biało-Czerwonych, rozpocznie się jednak 11 czerwca i potrwa do 19 lipca. Mowa, rzecz jasna, o piłkarskich mistrzostwach świata, których gospodarzami będą USA, Kanada i Meksyk.

W tym miesiącu rozpocznie się także reprezentacyjna rywalizacja siatkarska. Kobięca Liga Narodów rozpocznie się 1 czerwca i potrwa do 26 lipca, panowie w zmaganiach uczestniczyć będą w dniach 8 czerwca - 2 sierpnia. Warto również pamiętać o dacie 20 czerwca - tego dnia we Wrocławiu zaplanowano GP na żużlu, a także 29 czerwca - wówczas w Londynie rozpocznie się wielkoszlemowy tenisowy Wimbledon, w którym tytułu bronić będzie Iga Świątek (zmagania potrwać do 12.07).

LIPIEC

Siódmy miesiąc roku to przede wszystkim kontynuacja wielkich imprez rozpoczynających

w czerwcu, ale nie zabraknie także innych wartych uwagi wydarzeń. W drugiej połowie lipca zaplanowano bowiem mistrzostwa świata w kajakarstwie górskim (20-25.07, Oklahoma City) i szermierce (23-30.07, Hongkong), a także mistrzostwa Europy w wioślarstwie (30.07-2.08, Varese).

Lipiec to także kolarstwo, a przede wszystkim Tour de France. Panowie pojedą w dniach 5-27.07, panie - 26.07-3.08. Warto wspomnieć także o zawodach Pucharu Świata we wspinaczce sportowej, które odbędą się w Polsce, a dokładnie w Krakowie (3-5.07). W lipcu poznamy także zwyciężczynię kobiecej siatkarskiej Ligi Narodów (finał 26.07).

SIERPIEŃ

Już 2 sierpnia odbędzie się finał Ligi Narodów siatkarzy, z kolei od 21 sierpnia do 6 września odbywać się będą mistrzostwa Europy siatkarek w czterech krajach - Turcji, Czechach, Azerbejdżanie i Szwecji. Będzie to pierwsza okazja na zdobycie przepustki na igrzyska olimpijskie 2028, uzyskają ją jednak tylko złote medalistki.

Ósmy miesiąc dostarczy sporo ważnych imprez, które odbywać się będą w Polsce. Przede wszystkim będzie to kolarski Tour de Pologne mężczyzn (4-10.08) i kobiet (12-14.08), ale także mistrzostwa Europy w siatkówce plażowej (12-16.08, Stare Jabłonki), lekkoatletyczna Diamentowa Liga w Chorzowie (Memoriał Kamili Skolimowskiej, 23.08), Grand Prix na żużlu (1.08, Łódź), MŚ w kajakarstwie (26-30.08, Poznań) oraz żużlowy Drużynowy Puchar Świata (29.08, Warszawa).

To nie koniec wielkich sportowych wydarzeń zaplanowanych na sierpień. Fani tenisa będą mogli oglądać wielkoszlemowy US Open (30.08-13.09), w tym miesiącu odbędą się także ME w lekkiej atletyce (10-16.08, Birmingham), piłkarski superpuchar Europy (12.08, Salzburg), ME w pięcioboju nowoczesnym (3-9.08, Sztambuł), MŚ w wioślarstwie (24-30.08, Amsterdam) oraz wyścig kolarski Vuelta a Espana (23.08-14.09).

WRZESIEŃ

Włochy, Finlandia, Bułgaria i Rumunia - te kraje będą gospodarzami mistrzostw Europy siatkarzy, które odbędą się w dniach 9-26.09. Podobnie jak w przypadku siatkarek, złoci medalisci uzyskają awans na IO 2028.

We wrześniu poznamy też żużlowego mistrza świata, a ostatnie zawody zaplanowano 26.09 w Toruniu. Innymi ważnymi imprezami zaplanowanymi na dziewiąty miesiąc roku są mistrzostwa świata koszykarek (4-13.09, Berlin), MŚ w kolarstwie górskim (11-14.09, Crans-Montana) i MŚ w kolarstwie (21-28.09, Kigali), a w naszym kraju, w Lublinie, planowane są ME do lat 20 i 23 w podnoszeniu ciężarów (22-30.09).

PAŹDZIERNIK

Ostatniego dnia miesiąca w Dakarze (Senegal) rozpoczyna się organizowane co cztery lata Letnie Igrzyska Olimpijskie młodzieży, które potrwać do 13 listopada. Październik to jednak nie tylko młodzieżowe zmagania, zaplanowano na ten miesiąc także sporo innych imprez.

Już w dniach 4-11.10 w Baku odbędą się mistrzostwa świata w judo. W późniejszym terminie zaplanowano z kolei indywidualne mistrzostwa Europy w tenisie stołowym (11-18.10, Lublana), MŚ w kolarstwie torowym (22-26.10, Santiago), a także MŚ w podnoszeniu ciężarów (28.10-4.11, Ningbo).

LISTOPAD

Jedenasty miesiąc roku to tradycyjny początek zmagania w wielu zimowych dyscyplinach sportowych. Co prawda oficjalne kalendarze nie zostały jeszcze opublikowane, można jednak spodziewać się, że właśnie wtedy po raz pierwszy odbędą się zawody Pucharu Świata w skokach narciarskich.

Oprócz tego czekają nas WTA Finals (7-14.11, Rijad) i ATP Finals (15-22.11, Turyn), a więc tenisowe turnieje kończące sezon, a także MŚ drużyn mieszanych w tenisie stołowym (29.11-6.12, Chengdu).

GRUDZIEŃ

3-20.12 to termin mistrzostw Europy w piłce ręcznej kobiet, które odbywać się będą aż w pięciu krajach, w tym w Polsce. Nieco wcześniej w Pekinie wystartują mistrzostwa świata w pływaniu na krótkim basenie (1-6.12).

Grudzień będzie też pełen pucharowych emocji w sportach zimowych (biathlon, snowboard, skoki narciarskie). Najważniejszą imprezą zaplanowaną na ten miesiąc będzie Turniej Czterech Skoczni, który tak jak w tym roku, rozpocznie się 28.12.

United Cup. Polacy zaczynają turniej w Australii

Zbigniew Czyż
zbigniew.czyz@polskapress.pl

W Australii rozpoczął się tenisowy turniej drużyn mieszanych United Cup. Polacy zagrają w grupie F. Dziś zmierzą się z Niemcami, a w środę z Holandią.

United Cup to międzynarodowy turniej rozgrywany na początku sezonu w Australii i organizowany wspólnie przez WTA i ATP. Tenisistki i tenisiści zdobywają w nim rankingowe punkty. Do zdobycia jest maksymalnie po 500 punktów do zestawienia ATP i WTA, a pula nagród wynosi ponad 11 milionów dolarów.

W polskiej drużynie, która rozstawiona została z numerem dziewiątym, znaleźli się: Iga Świątek, wracający po kontuzji Hubert Hurkacz, Katarzyna Kawa, Katarzyna Piter, Daniel Michalski i Jan Zieliński. Kapitanem jest Mateusz Terczyński, na co dzień członek sztabu trenerskiego Hurkacza. Polacy to dwukrotni finaliści United Cup: w 2024 roku przegrali spotkanie o tytuł z Niemcami, a w 2025 r. z USA.

W Sydney i Perth do rywalizacji przystąpiło 18 drużyn podzielonych na sześć grup po trzy zespoły. Grupy A, C i E rywalizują w Perth, pozostałe, w tym „polska”, w Sydney. To oznacza, że Biało-Czerwoni w przypadku awansu do fazy finałowej, która również zostanie rozegrana w tym mieście, nie będą musieli się przemieszczać. Zwycięzcy grup awansują do ćwierćfinałów, podobnie jak po jednej najlepszej drużynie z drugich miejsc w obu miastach. Każdy mecz będzie składał się z jednego pojedynku singlistów, jednego singlistek oraz z rywalizacji par mieszanych.

Najwyżej rozstawiona jest broniąca tytułu ekipa USA, w której składzie znaleźli się trzecia na liście WTA Coco Gauff i szósty w rankingu ATP Taylor Fritz. Stany Zjednoczone mierzą się w grupie A z Hiszpanią i Argentyną.

Swoją pierwszy mecz Polacy rozegrają dzisiaj. O godz. 7.30 polskiego czasu Hubert Hurkacz (72. ATP) zagra z Alexandrem Zverevem (3. ATP), a zaraz potem, ale nie wcześniej niż przed godz. 9, Iga Świątek, wi-



Reprezentacja Polski rozpoczyna dzisiaj udział w turnieju United Cup

celiderka rankingu WTA, zmierzy się z klasyfikowaną na 40. pozycji Evą Lys. Po meczach singlowych odbędzie się pojedynek par mieszanych; na razie nie jest jeszcze znany skład Biało-Czerwonych na tę rywalizację.

Drugi mecz nasza reprezentacja rozegra w środę z Holan-

dią. Na godz. 10.30 polskiego czasu zaplanowane jest spotkanie Hurkacza z Tallonem Griksperem (26. ATP). Po tym meczu, około godz. 12, Iga Świątek zagra z zajmującą 89. miejsce w zestawieniu Suzane Lamens.

- Czuję, że powietrze jest tu inne, i bardzo się na to cieszę. Przez ostatni miesiąc byłam

głównie w domu, gdzie jest teraz minus pięć stopni albo coś koło tego. Cieszę się na słońce i dobrą pogodę. Dla mnie wyjazd do Australii jest zawsze ekscytujący. Zobaczymy, jak będzie wyglądał mój tenis, czy udało się wdrożyć wszystko, nad czym pracowaliśmy w okresie przygotowaw-

czym. Skupię się więc na technicznej stronie meczów i mam nadzieję, że potem osiągniemy dobre wyniki - powiedziała po przylocie do Australii Świątek w rozmowie z byłą australijską tenisistką Casey Dellacqua.

Raszynianka odniosła się też do szans reprezentacji Polski w całym turnieju rozgrywanym w Australii.

- Czuję, że w ostatnich latach graliśmy świetnie, ale mieliśmy trochę pecha, zwłaszcza z Niemcami, z którymi mieliśmy piłki meczowe na wygranie całego turnieju. Musimy iść jednak krok po kroku od samego początku. Nie ma sensu myśleć teraz o wygranej, bo najpierw czekają nas mecze grupowe. Myślę, że na tym się skupimy - powiedziała najlepsza w historii polska tenisistka.

Za nami już pierwsze mecze turnieju. Od zwycięstwa zmagania rozpoczęła reprezentacja Stanów Zjednoczonych, pokonując Argentynę 2:1. United Cup jest ostatnim sprawdzianem przed wielkoszlemowym Australian Open, który rozpocznie się w Melbourne 18 stycznia.

© P

Rok 2025 w tenisie. Dominacja Sabalenki, pościg Świątek, problemy Hurkacza

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

Miniony 2025 rok, choć Iga Świątek zajmowała poza pierwszym miejscem na świecie, był dla polskiej gwiazdy udany z powodu wygrania Wimbledonu.

W 2025 roku Aryna Sabalenka została zaledwie trzecią w obecnym stuleciu tenisistką, która cały sezon spędziła na pierwszym miejscu światowego rankingu.

Cały rok na szczycie Aryny Sabalenki

Rok temu Sabalenka przyznała, że chciałaby dominować w tenisie jak niegdyś Amerykanka Serena Williams, albo choć tak, jak w poprzednich latach Iga Świątek. Choć nie wszystko w sezonie 2025 poszło po myśli Białorusinki, to bez wątpienia była w nim zdecydowanie najlepsza.

Cały rok na szczycie rankingu w XX wieku udało się wytrwać wcześniej tylko Williams, która dokonała tego przez dwa lata z rzędu (2014 i 2015), a także w 2021 r., Australijce Ashleigh Barty.

Sabalenka pozycję liderki zawdzięcza przede wszystkim

świetnej postawie w turniejach Wielkiego Szlema, co jest już jej znakiem rozpoznawczym.

27-latką z Mińska wystąpiła aż w trzech finałach: w Australian Open uległa Amerykance Madison Keys, we French Open jej rodaczce Coco Gauff, a triumfowała w US Open. W Nowym Jorku zrewanżowała się za półfinałową porażkę w Wimbledonie kolejnej Amerykance - Amandzie Anisimovej.

Sabalenka wygrała jeszcze turnieje rangi 1000 w Miami i Madrycie oraz WTA 500 w Brisbane. W efekcie nad drugą w klasyfikacji Iga Świątek ma aż 2312 punktów przewagi.

Historyczny triumf Igi Świątek

W przypadku Polki również można mówić o udanym sezonie, choć nie tak bardzo, jak Sabalenki. Jego zdecydowanie najważniejszym punktem był historyczny triumf w Wimbledonie, co było najbardziej spektakularnym sukcesem w polskim sporcie 2025 roku.

12 lipca w finale Wimbledonu Iga Świątek zdeklasowała Amerykankę Amandę Anisimovą 6:0, 6:0. Ten niezwykle wyczyn odbił się szerokim echem na całym świecie. Polka powtórzyła osiągnięcie Brytyjki



W 2025 roku Hubert Hurkacz zmagał się z problemami zdrowotnymi, a Iga Świątek triumfowała w Wimbledonie

Dorothei Lambert Chambers, która wygrała finałowy mecz w Wimbledonie bez straty gema w... 1911 roku. W erze open (od 1968 r.) wielkoszlemowy finał zakończył się „rowerem” tylko raz: w 1988 roku w Paryżu, kiedy Niemka Steffi Graf nie dała szans reprezentantce Związku Radzieckiego Nataszy Zwieriewej.

Świątek została pierwszą polską singlową mistrzynią Wimbledonu - najstarszego i najbardziej prestiżowego turnieju tenisowego. Zaskoczyła wszystkich, bo nawierzchnia trawiasta uchodziła za najmniej jej sprzyjającą.

Tytuł zdobyty w Londynie był jej szóstym w imprezie tej rangi, po czterech we French

Open (2020, 2022-2024) i jednym w US Open (2022). Od 1997 roku wygrać co najmniej sześć wielkoszlemowych turniejów zdołały jeszcze tylko Serena Williams (23), jej siostra Venus (7) i Belgijka Justine Henin (7). Sabalenka ma na koncie cztery tytuły. Świątek wygrała też turnieje WTA 1000 w Cincinnati i WTA 500 Seulu (WTA 500).

W kończącym sezon WTA Finals, dla ośmiu najlepszych zawodniczek roku, Polkę i Białorusinkę pogodziła Jelena Rybakina. Reprezentantka Kazachstanu prawo startu w Rijadzie wywalczyła jako ostatnia, ale za to pojechała tam w świetnej formie. W fazie grupowej pokonała Świątek, a w finale Sabalenkę.

Alcaraz zamienił się miejscami z Sinnerem

W rywalizacji mężczyzn sezon 2025 był niemal kopią cyklu 2024. Znow po dwa Wielkie Szlemy wygrali Jannik Sinner i Carlos Alcaraz. Różnica polega na tym, że w 2024 r. Włoch wygrał w Melbourne i Nowym Jorku, a teraz w Australii i w Londynie. Hiszpan powtórzył ubiegłoroczny sukces w Paryżu i zdeponował wielkiego rywala w US Open.

Liderem rankingu jest Alcaraz, który ma zaledwie 550 pkt.

przewagi. Na utratę prowadzenia przez Włocha wpływ miało trzymiesięczne zawieszenie wiosną po pozytywnym wyniku testu antydopingowego.

W cieniu rywalizacji 24-letniego Sinnera i 22-letniego Alcaraza serbski weteran, 38-letni Novak Djoković, wygrał turnieje numer 100 i 101: w Genewie i w Atenach.

Kamil Majchrzak zastąpił Huberta Hurkacza

Z polskiej perspektywy najważniejszą powód do radości było w Wimbledonie, w którym niespodziewanie do 1/8 finału dotarł Kamil Majchrzak. W rankingu jest obecnie 62.

Z powodu problemów z kolanem całe drugie półrocze stracił Hubert Hurkacz. 28-latek ma być gotowy na start nowego cyklu i razem ze Świątek weźmie udział w turnieju drużyn mieszanych United Cup, który w Australii zaczął się już 2 stycznia.

Hurkacz na liście ATP obsuwał się na 73. miejsce, ale dzięki zamrożeniu rankingu z powodu długotrwałej kontuzji w pierwszych maksymalnie 10 turniejach będzie traktowany, jakby zajmował 47. pozycję na świecie.

© P



FOT. REX FEATURES/EAST NEWS

Za chwilę może się okazać, że siła rodzimej lekkoatletyki oparta będzie na białoruskim, archaicznym systemie szkolenia

Lekkoatletyka Pięć miejsc w tabelach TOP 10 w 2025 roku to najslabszy wynik Polaków od 30 lat. „Gród Kopernika” stolicą „królowej sportu”

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

Po jednym medalu mistrzostw świata w hali i na otwartym stadionie, cztery krążki europejskiego czempionatu pod dachem i rekord świata juniorów – oto nasz bilans w 2025 roku.

Pięć miejsc w tabelach TOP 10 za sezon 2025 to najslabszy wynik polskich lekkoatletów od 30 lat!

Przypomnijmy, że w 1995 roku również mieliśmy pięć lokat, a w czołowej „dziesiątce” byli wówczas: Artur Partyka (wzwyż), Anna Brzezińska (1500 metrów), Kamila Gradius (maraton), sztafeta 4 x 400 metrów mężczyzn i Małgorzata Sobańska (maraton).

Wówczas na stadionie „Ullevi” w Göteborgu sięgnęliśmy po dwa medale brązowe: wspomniany Partyka i Robert Korzeniowski w chodzie na 50 km. W tym roku, w Tokio, Polacy tylko raz stawali na podium: srebrny medal wywalczyła Maria Żodzick w skoku wzwyż.

Polacy w TOP 10 list światowych:

2. miejsce: sztafeta mieszana 4 x 400 metrów;
3. miejsce (ex aequo): Maria Żodzick – wzwyż;
5. miejsce: sztafeta 4 x 400 metrów kobiet;
6. miejsce: Natalia Bukowiecka – 400 metrów;

Miało być tak pięknie, tymczasem jest słabo. Ta piątka bardzo martwi

7. miejsce: Paweł Fajdek – młot.

Polacy w TOP 10 list europejskich:

1. miejsce: Natalia Bukowiecka – 400 metrów;
1. miejsce: sztafeta mieszana 4 x 400 metrów;
2. miejsce (ex aequo): Maria Żodzick – wzwyż;
3. miejsce: Pia Skrzyszowska – 100 metrów przez płotki;
3. miejsce: Cyprian Mrzygłód – oszczep;
3. miejsce: sztafeta 4 x 400 metrów kobiet;
4. miejsce: Klaudia Kaziemierska – 1500 metrów;
4. miejsce: Anita Włodarczyk – młot
4. miejsce: Konrad Bukowiecki – kula;
4. miejsce: Dawid Wegner – oszczep;

5. miejsce: Paweł Fajdek – młot;
5. miejsce: Marcin Krukowski – oszczep;
6. miejsce: sztafeta 4 x 100 metrów mężczyzn;
7. miejsce: Katarzyna Zdziebło – chód 35 km;
8. miejsce: Anna Wielgosz – 800 metrów;
8. miejsce: sztafeta 4x400 metrów mężczyzn
9. miejsce: Ewa Swoboda – 100 metrów;
9. miejsce: Małgorzata Maślak-Glugła – oszczep
9. miejsce: sztafeta 4 x 100 metrów kobiet;
10. miejsce (ex aequo): Igor Bogaczyński – 200 metrów.

Najważniejszą imprezą sezonu 2025 były oczywiście wspomniane już mistrzostwa świata w Tokio. Z podium cieszy-

liśmy się dopiero ostatniego dnia imprezy, gdy srebro w skoku wzwyż wywalczyła Żodzick, która w deszczowym finale poprawiła rekord życiowy, pokonując m.in. mistrzynię olimpijską i rekordzistkę świata Jarosławę Mahuczich.

Kłopot w tym, że urodzona w białoruskich Baranowiczach Marysia uczyła się sztuki pokonywania poprzeczki nie w Polsce, tylko za naszą wschodnią granicą...

W klasyfikacji medalowej reprezentacja Polski zajęła w Tokio

PZLA pozostaje jednym z najbogatszych związków sportowych w kraju. W 2026 roku nadal może jednak liczyć na wsparcie państwa...

27. miejsce – ex aequo za takimi „potęgami”, jak Algieria, Dominika, Dominikana, Grenada, Grecja, Irlandia, Korea Południowa, Litwa, Łotwa, Maroko, Nigeria i Portoryko... W rankingu punktowym nasza ekipa znalazła się na 14. miejscu.

Najgorsze w tym wszystkim jest chyba to, że nie mamy następców naszych wielkich mistrzów... Rzut młotem praktycznie przestaje istnieć, biegi – z wyjątkiem „nieśmiertelnej” Natalii Bukowieckiej – również.

Nad konkurencjami technicznymi także nie ma sensu się rozwodzić...

Z deszczu pod rynną

Bez wątpienia rok 2025 był wyjątkowy. Po raz pierwszy w historii odbyły się bowiem w jednym sezonie zarówno halowe mistrzostwa świata, jak i Europy. I to w odstępie niespełna dwóch tygodni... Za to na dwóch różnych kontynentach.

HMS w chińskim Nankinie to dla Polski jeden – srebrny – medal, wywalczony w... ostatniej konkurencji zawodów przez sztafetę 4 x 400 metrów pań w składzie: Justyna Święty-Ersetic, Aleksandra Formella, Anastazja Kuś i Anna Gryc.

Wcześniejsze HME, w niderlandzkim Apeldoorn, to zdobyć czteremedalowa: złota Anny Wielgosz na 800 metrów i Jakuba Szymańskiego na 60 metrów przez płotki, srebro Maksymiliana Szweđa na 400 metrów i brąz Pii Skrzyszowskiej na 60 metrów przez płotki.

Po raz pierwszy w historii z zawodów World Relays (Kanton) wróciliśmy już jednak bez medalu.

Kolejne ważne imprezy odbyły się w Bochum – letnia Uniwersjada (siedem medali polskich lekkoatletów), w Madrycie, gdzie Polska zdobyła srebro na drużynowych mistrzostwach Europy, w Bergen – młodzieżowe mistrzostwa Europy (U23), gdzie nasi rodacy zdobyli cztery medale, i w Tampere, skąd juniorzy przywieźli osiem medali mistrzostw Europy.

Drugi w historii

Na pewno jedną z najpiękniejszych chwil przeżyliśmy właśnie na „Ratinan stadion”, gdzie Hubert Trościanka ustanowił bajeczny rekord świata w dziesięcioboju 19-latków.

W Finlandii Polak zrobił furorę: najpierw 400 metrów pokonał w 46,21 s (w finale tej konkurencji drugi na mecie Francuz Milann Klemenic uzyskał czas 46,44 s), a oszczep posłał na odległość 68,87 m!

Nasz wieloboista, szeregowy Wojska Polskiego, poprawił 8-letni rekord świata juniorów Niemca Niklasa Kaula (8435 punktów na ME juniorów w Grosseto).

W nagrodę otrzymał od European Athletics prestiżowy tytuł „Rising Star”. Wygrał kategorię „Wschodzącej Gwiazdy” dla najbardziej obiecującego za-

wodnika, który nie ukończył 23. roku życia, którą wprowadzono w ramach „European Athletic Rising Star of the Year” w 2007 roku.

Tym samym Trościanka został drugim Polakiem w historii, który otrzymał to wyróżnienie – pierwszym był Konrad Bukowiecki (w 2015 roku pokonał m.in. niespełna 16-letniego Armanda Duplantisa)...

A co czeka polskiego kibica w tym roku? Niestety, niewiele dobrego. Afera z odebraniem Polsce organizacji mistrzostw Europy w 2028 r. staje się symboliczna. Belgrad wydaje się bowiem w dogrywce o tę imprezę nie do pokonania...

Zostają nam marcowe halowe mistrzostwa świata, których gospodarzem będzie „Arena Toruń”.

A sportowo? Kilka nazwisk, którym i tak świat ucieka... Plus ponownie najwyższa dotacja z resortu sportu – ponad 20 milionów złotych!!!

Najważniejsze imprezy lekkoatletyczne 2026 w Polsce:

- Hala
- * 25 stycznia: Łódź – mityng „Orlen Cup” (B);
- * 31 stycznia: Gorzów Wlkp. – mityng „Gorzów Jump Festival” (B);
- * 22 lutego: Toruń – mityng „Copernicus Cup” (A), w tym wieloboje (B);
- * 28 lutego-1 marca: Toruń – halowe mistrzostwa Polski (D);
- * 20-22 marca: Toruń – halowe mistrzostwa świata (GW).
- Stadion
- * 29 maja: Bydgoszcz – „Memoriał Ireny Szewińskiej” (A);
- * 28 czerwca: Poznań – „Memoriał Czesława Cybulskiego” (B);
- * 11-12 lipca: Nakło nad Notecią – „Memoriał Wiesława Czapiewskiego” (A);
- * 24-26 lipca: Białystok – mistrzostwa Polski (B);
- * 17 sierpnia: Międzyzdroje – „Golden Sand. Memoriał Szewińskiej, Komara i Ślusarskiego” (B);
- * 23 sierpnia: Chorzów – „Memoriał Kamili Skolimowskiej” (GW/Diamentowa Liga);
- * 18 września: Chorzów – „Memoriał Janusza Kusocińskiego” (B).

Najważniejsze imprezy lekkoatletyczne 2026 na świecie:

- * 10 stycznia: Tallahassee – mistrzostwa świata w przełajach;
- * 2-3 maja: Gaborone – World Relays;
- * 16-19 lipca: Rieti – mistrzostwa Europy U18;
- * 4-9 sierpnia: Eugene – mistrzostwa świata U20;
- * 10-16 sierpnia: Birmingham – mistrzostwa Europy;
- * 4-5 września: Bruksela – finał Diamentowej Ligi;
- * 11-13 września: Budapeszt: World Athletics Ultimate Championships.

©©

Skoki narciarskie Żyła skoncentruje się na MŚ w lotach w Oberstdorfie?

MUSI TO SOBIE PRZYPOMNIEĆ...

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

PZN zdecydował, że w austriackiej części „Vierschanzentournee” nie zobaczymy już Piotra Żyłę. 38-latek decyzyjnie trenera Macieja Maciusiaka został wycofany z kadry. Zastąpił go Dawid Kubacki.

Żyła był jedynym Polakiem, który nie wystartował w drugim konkursie 74. edycji Turnieju Czterech Skoczni w Garmisch-Partenkirchen. Na „Große Olympiaschanze”, odpadł już w kwalifikacjach, zajmując - po próbie na 120 metr - odległe 53. miejsce. Wcześniej, w Oberstdorfie zajął 36. miejsce.

- Na piątek, 2 stycznia byłem już umówiony z Krzysztofem Biegunem w Szczyrku. Coś już chciałem poskakać. Normalnie, na spokojnie. Mam kilka elementów do zrobienia w treningu, do przypilnowania. Jednak ja wiem, że skakać umiem. Tylko trzeba sobie przypomnieć, jak to robić. W spokoju - wyjaśnił mistrz świata z 2021 i 2023 roku w wywiadzie dla TVP Sport.

I dodał, że niestety przegrał... sam ze sobą. Dlatego wraz z trenerem uznali, że nie ma sensu dalej tego ciągnąć. Znacznie lepiej będzie złapać chwilę spokoju, aby wszystko nasz utytułowany sportowiec mógł ułożyć sobie w głowie.



Piotr Żyła wyciągnął wnioski z poprzedniego sezonu i formy szuka w... spokoju

Wbrew pozorom, Żyła nie jest wcale najniższej klasyfikowanym naszym skoczkiem w klasyfikacji generalnej Pucharu Świata w sezonie 2025/2026. Zawodnik rodem z Cieszyna, zbierał bowiem 96 punktów, co jeszcze przed konkursem w Innsbrucku dawało mu 26. miejsce. Wyżej byli tylko Kacper Tomasiak - jedenasty (252 pkt) i Kamil Stoch - dwudziesty drugi (135 pkt).

- Prawdę mówiąc, tu nie chodzi nawet o same błędy techniczne, o kwestie na skoczni. Ja, tak jakby, znowu chyba nie poradziłem sobie sam ze sobą. To

chyba bardziej jest o emocjach, o mentalu. Bo w tym całym moim przypadku skoki wynikają z tego, jak się do tego nastawiam. To są takie moje rzeczy, które trudno jest wyjaśnić. Z tego potem bierze się to, że mam troszkę może za dużo emocji w sobie i takie, jak to nazwać, napięcia. Takie, że mi zaczyna tak bardziej zależeć, za mocno. I wtedy efektem tego jest, że ja się po prostu odbijam za wcześnie. I to sporo powiedział Żyła w cytowanym wywiadzie dla TVP Sport.

W dniach 10-11 stycznia Puchar Świata ponownie zagrości w Zakopanem, a dwa tygodnie

później, w Oberstdorfie odbędą się mistrzostwa świata w lotach narciarskich.

- Muszę pomyśleć o tym, co jeszcze przede mną, co jeszcze mogę tej zimy zrobić. Są loty, a ja lubię loty, więc warto się na to odpowiednio przygotować, skompletować trochę sprzętu, wyszykować się tam. Wcześniej jest Zakopane. Miejsca, niestety, nie ma dużo, bo możemy wystawić tylko pięciu zawodników. Więc kto wie, ale może być trudno, aby dalej jeździć na pucharach świata - Żyła nie ma wątpliwości, co w zaistniałej sytuacji będzie dla niego priorytetem...

Adam
Godlewski

„Krótka piłka”



FLUOR W ŚWIECIE PARADOKSÓW

Współczesny świat, również ten sportowy, jest pełen paradoksów. A na początku 2026 roku mamy ich kumulację dotąd chyba nieogłdaną...

Oto laureat pierwszej w historii Pokojowej Nagrody FIFA wydał rozkaz ataku na Wenezuelę, aby pochwycić tamtejszego satrapę Nicolasa Maduro. Ludzie na całym świecie są oczywiście podzieleni - i to bardzo - w ocenie tego zdarzenia zainicjowanego przez prezydenta USA Donalda Trumpa. Znaleźli się jednak i tacy - na czele z legendarnym bramkarzem hokejowej reprezentacji Czech i klubów NHL Dominikiem Haskiem - którzy już zaapelowali, aby tegoroczny

piłkarski mundial został z tego powodu zorganizowany tylko przez dwa kraje. Mianowicie przez Meksyk i Kanadę, bez Stanów Zjednoczonych karnie pozbawionych tego przywileju. I domagają się zdecydowanych kroków szefa FIFA Gianniego Infantino w tej sprawie...

Robert Lewandowski został - w zasadzie - skreślony z kadry w czerwcu minionego roku przez naszego ówczesnego selekcjonera Michała Probierza. Szkoleniowiec przed wyjazdowym meczem z Finlandią doszedł do wniosku, że kapitan reprezentacji już zrobił swoje, jego forma spływa po równi pochyłej, a drużyna narodowa będzie silniejsza (niż z nim w składzie) bez napastnika Barcelony. Aby było

śmieszniej, Probierz nie był w tej ocenie osamotniony, ale tylko on mógł podjąć w omawianym czasie taką decyzję, a później musiał wziąć na klatę odpowiedzialność za jej skutki. Efekt zaś jest taki, że pana Michała próżno dziś szukać na piłkarskich salonach, natomiast Lewandowski, choć pojawił się na boisku tylko na pół godziny, strzelił ważnego gola w derbach stolicy Katalonii w La Lidze. I zebrał dobre recenzje. Znaczący po upływie przeszło pół roku od „akcji” Probierza nadal się nie skończył. A co więcej, nie kryje apetytu na awans na mundial i wygranie Ligi Mistrzów...

Skoro jest zima, to, po pierwsze, powinno być... zimno - jak chciał klasyk polskiego kina. A po drugie - MUSZA być przygotowane i działać pełną parą obiekty służące sportowcom uprawiającym dyscyplinę, nomen omen, zimowe. Tymczasem „centralny” kompleks skoczni narciarskich w Zakopanem jest zamknięty tak szczelnie, że odbił się od niego nawet Dawid Kubacki, który wrócił do kraju z cyklu Pucharu Świata

i Kontynentalnego w poszukiwaniu zagubionej formy. Jak się okazało - po to, aby poćwiczyć na siłowni. Czyli lepiej (dla Dawida, ale też dla wszystkich) byłoby, gdyby do stolicy polskich Tatr i naszych sportów zimowych jednak nie wracał...

Problem w tym, że za granicą nasze skoki wcale nie mają się lepiej. Resztek reputacji broni tylko nastolatek Kacper Tomasiak. A na domiar złego - mizernie, mając się nijak do oczekiwań wyniki Polaków przyćmił skandal z potraktowaniem nart Pawła Wąska... fluorem. To substancja zakazana w smarach do nart przez FIS. I taka, która „patrząc na prędkości najazdowe i tak niczego nie dała”, jak ocenił sprawiający wrażenie mocno zdeorientowanego zaistniałą sytuacją selekcjoner Maciej Maciusiak...

To po jaką cholere? Coż, wychodzi na to, że albo tonący brzydko się chwyta, albo dostaliśmy kolejne potwierdzenie rażącego braku profesjonalizmu...

Maryna Gąsienica-Daniel siódma w Kranjskiej Gorze

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

Maryna Gąsienica-Daniel uplasowała się w slalomie gigancie alpejskiego Pucharu Świata w znanym słoweńskim kurorcie narciarskim Kranjska Gora na 7. miejscu.

Polska alpejka po pierwszym przejeździe na północno-zachodnim krańcu Słowenii w Alpach Julijskich, niedaleko włoskiej i austriackiej granicy, była dziewiąta, ale w drugim uzyskała czwarty czas - szybsze były jedynie Szwedka Sara Hector, Austriaczka Julia Scheib i Szwajcarka Camilla Rast.

Zwyciężyła Rast, wyprzedzając Scheib (strata 0,20 sekundy) i Amerykankę Paulę Moltzan (strata 0,47 sekundy). Piątą była słynna Amerykanka Mikaela Shiffrin (strata 1,05 sekundy), która była szybsza od Martyny o 0,47 sekundy.

Gąsienica-Daniel potwierdziła, że jest w bardzo dobrej formie w perspektywie zbliżających się igrzysk olimpijskich we Włoszech. Przed tygodniem osiągnęła swój najlepszy wynik w karierze w alpejskim Pucharze Świata, zajmując piąte miejsce w gigancie w austriackim Semmering.

Narciarka z Zakopanego po raz drugi od niemal trzech lat znalazła się w czołowej dziesiątce elitarnego cyklu. Wcześniej udało jej się to w marcu 2023 roku w Andorze, gdzie zajęła ósme miejsce. Rekordowe dotychczas wyniki osiągała w latach 2021-2022, kiedy czterokrotnie zajęła szóstą pozycję.

W klasyfikacji Pucharu Świata w slalomie gigancie Gąsienica-Daniel awansowała na 10. miejsce, a w generalnej na 24. Liderką całego cyklu pozostaje Shiffrin, a w gigancie Scheib.

Zawody alpejskiego Pucharu Świata w slalomie gigancie odbędą się jeszcze dwukrotnie przed XXV Zimowymi Igrzyskami Olimpijskimi w Mediolanie i Cortinie d'Ampezzo - 20 stycznia we włoskim Plan de Corones (Kronplatz) oraz cztery dni później w czeskim Szpindlerowym Młynie.

Martyna, wraz z trenerem Marcinem Orłowskim, zdecydowała, że w igrzyskach wystartuje również w supergigancie. W styczniu więc na pewno w ramach przygotowań wystartuje w supergigancie w Altmarmarkt-Zauchensee. Wstępnie zaplanowany jest też start w supergigancie w Tarvisio.

W Pucharze Świata w bobslejach w Winterbergu polska dwójka Jakub Zakrzewski i Paweł Sarnecki uplasowała się na ostatniej, 27. pozycji. Zwyciężyli reprezentanci gospodarzy - Niemcy Johannes Lochner i Georg Fleischhauer, a pilot tej osady Lochner umocnił się na prowadzeniu w klasyfikacji generalnej, w której Zakrzewski jest na 32. miejscu.

W jedynkach kobiet Linda Weiszewski zajęła 18. lokatę, a triumfowała również Niemka - Laura Nolte, która ugruntuowała prowadzenie w klasyfikacji generalnej. Weiszewski w „generalce” jest 20.

Natalia Maliszewska, Gabriela Topolska, Felix Pigeon i Michał Niewiński będą reprezentować Polskę w short tracku w rozpoczynających się 6 lutego igrzyskach - zdecydował Polski Związek Łyżwiarstwa Szybkiego.

Cała czwórka wybrana do składu wystartuje na każdym z dystansów indywidualnie (500, 1000 i 1500 m) oraz w sztafecie mieszanej. Awansu nie uzyskały ani kobieta, ani męska sztafeta.

© EP



Maryna Gąsienica-Daniel szalała na stokach Alp Julijskich w Kranjskiej Gorze w Pucharze Świata

MAGAZYN

SPORTOWY24

5.01.2026

Maryna Gąsienica-Daniel zajęła 7. miejsce w Pucharze Świata rozegranym w Kranjskiej Gorze. Znow dała popis w drugim przejeździe giganta STR. 23



FOT. EPA/PAP

Olimpijska forma polskiej alpejki

**CO NAS CZEKA
W ROKU 2026?
KALENDARZ IMPREZ
DLA KIBICÓW
STR. 20**

**Nasza reprezentacja
dziś rozpoczyna udział
w tenisowym United
Cup w Australii
STR. 21**

**Miało być tak pięknie,
tymczasem jest słabo.
Polska lekkoatletyka
na zakręcie
STR. 22**

SPORTOWY24.PL